Nr. 2. Kraków, 15 Stycznia 1892 r. Rok II.

MYŚL

Dwutygodnik literacko-społeczny i Dodatek ekonomiczno-przemysłowy.

KOLEJE GALICYJSKIE.

Ostatni zeszyt *Ekonomisty* zawiera dokończenie ciekawej pracy br. Gostkowskiego pt.: Rzecz o kolejach galicyjskich. Z obszernego tego elaboratu wyjmujemy ciekawsze dla ogółu czytelników uwagi, odpowiadające na wiele ciekawych pytań. Galicyjska sieć kolei wynosi tyle, ile droga z Paryża do Stambułu, t. j. 3000 km.; na przejechanie jej potrzebaby siedzieć w pociągu trzy dni i tyleż nocy. Koleje nasze stykają się w 13 punktach z Niemcami, Szląskiem, Rumuniją, Węgrami i Rosją. Jestto jednak wszystko niewystarczające. Galicyja co do gęstości kolei względnie do ludności, stoi po Dalmacyi na ostatniem miejscu. W monarchii wypada 75 km. na 100.000 mieszkańców — w Galicyi tylko 44 — tak, że brakuje nam właściwie do liczby przeciętnej 2046 km. drogi żelaznej. Gdybyśmy jednak odliczyli różne warunki lokalne, gdybyśmy nawet przyjęli za zasadę, że połowa analfabetów nie korzysta z kolei, to i tak brakłoby nam jeszcze 1000 km. dróg żelaznych.

Koleje, jakie obecnie posiadamy, są zbudowane dla celów wojskowych i przypadkowo tylko mogą mieć znaczenie ekonomiczne.

Takich kolei, jakich potrzebujemy, tj. kolei ekonomicznych, rząd budować nie będzie, bo koleje istniejące wystarczają mu najzupełniej. Sfery handlowe dla rozszerzenia sieci kolejowej się nie przyczynią, bo potrzeby ich są również zaspokojone. Ciężar budowy nowych kolei spada przeto na kraj, gdyż jego jest obowiązkiem pielęgnować przemysł i dbać o stworzenie możności do zarobkowania.

Pielęgnowanie zarobku powinno być główną troską. Niech będzie zarobek, a gospodarstwo rolne się podniesie, przemysł się i handel się rozwinie.

„Bierność naszego społeczeństwa — mówi Szczepanowski — jest namacalnym dowodem, że u nas brak zarobku. Podniesienie zarobku jest u nas tem ważniejsze, że takich, którzy potrzebują większego zarobku, jest u nas przeszło 6 milionów, a takich, którzy potrafią żyć z zarobku, zaledwie 6 tysięcy".

Skoro koleje, jakie mamy budować, mają odpowiadać potrzebie kraju, trzeba mieć na oku zasadę, że koleje takie zaspakajać powinny przedewszystkiem potrzeby miejscowe, że więc nie mają żadnego innego celu, jak tylko lepiej zastąpić szosę, bo stosunki komunikacyjne są najważniejszym czynnikiem, od którego zawisł przyszły rozwój naszych sił ekonomicznych.

Konsekwencyą tej zasady jest, że ruch kolei lokalnych powinien być tak urządzonym, aby mieszkańcy okolic, przez które kolej prowadzi, zdążać mogli łatwo do tych pociągów kolei głównej, które dla nich są najwygodniejsze, celem dostania się w porę do miejsc, które, ze względu na targi, sądy, zarobkowanie itp. najczęściej odwidzać muszą.

Więc nie podtrzymywanie ruchu światowego jest celem i zadaniem kolei lokalnych, ale pielęgnowanie ruchu miejscowego, bo tylko pielęgnowanie takiego ruchu przyczynić się może do rozwoju przemysłu krajowego.

Koleje lokalne są najlepszym środkiem do podniesienia poziomu sił narodowych, gdyż nietylko, że ułatwiają kumunikacyę, ale czasami ją umożliwiają, mianowicie tam, gdzie budowa szos natrafia na trudności. W takich razach mogą być koleje żelazne taniej zbudowane, aniżeli szosy.

A gdy się zważy, że utrzymanie kolei może być czasem tańsze od utrzymania szosy, przewóz zaś jest zawsze tańszym, niż na szosie, przyjdzie się do poznania całej doniosłości tanich kolei, zwłaszcza, gdy się pomni, że szosa dostarcza tylko drogi, kolej zaś daje do użytku nietylko drogę, ale także pojazd i siłę przewozową.

Świetny przykład, że kolej żelazna może być tańszą niż szosa, dają nam Węgry. Kolej Arad-Köresthal, mająca 62 kilometrów długości, kosztowała, na kilometr swej długości 17 000 zł., podczas, gdy szosa, idąca w jej pobliżu, jest prawie półtora razy droższą. Kilometr szosy kosztuje bowiem 26.000 zł.

Szybka jazda jest głównym powodem, że koleje zwykle są drogie; a ponieważ my drogich kolei nie potrzebujemy, więc na kolejach krajowych wypada jechać wolno, a okoliczność ta sprawi, że otrzymamy koleje, których przychody nie będą obciążone procentami od wielkiego kapitału wkładowego.

Na pytanie, jak szybko jeździć należy na kolejach krajowych, aby odpowiedzieć warunkom takich kolei — roztrząsa autor gruntownie i fachowo całą sprawę, poczem daje odpowiedź, streszczającą się w następujących punktach.

1. Szyna nie potrzebuje na meter długości ważyć więcej, jak $12^1/_2$ klg.

2. Maszyny potrzebne są o sile 40 koni.

3. Z tem wszystkiem szybkość najcięższego pociągu nie spadnie poniżej 16 klm. na godzinę.

Bardzo ciekawą jest kwestya — jak kolej krajowa powinna być budowaną i administrowaną, ażeby się opłacała? W tym kierunku otrzymujemy następującą odpowiedź:

„Koleje krajowe muszą być tanio budowane i urządzone, a administracya ich, nie może kosztować wiele. Ztąd wynika, że musimy ograniczyć nasze wymagania do możliwego minimum.

Kapitał zakładowy da się tylko wtedy zredukować, jeżeli koszta wykupna gruntu, potrzebnego pod kolej, nie będą wielkie, co znów stać się może tylko wtedy, jeżeli koleje krajowe stawiać będziemy, ile możności na szosach, a tam, gdzie szosy koniecznie opuścić wypada, nabycie gruntu będzie tanie, lub grunt otrzymany bezpłatnie. Rozumie się samo przez się, że kolej krajowa będzie koleją wąskotorową.

Mając tę zasadę na oku, nie będziemy stawiać budynków w czystem polu, lecz urządzać będziemy stacye kolejowe ile możności tam, gdzie blisko szosy, na której kolej idzie, znajdujemy budynki już gotowe, jak np. zabudowania gospodarskie, zajazdy, poczty itp. Na podwórze tych budynków wprowadzimy tor naszej kolei, a stacya będzie gotową. Kolej krajowa nie odgraniczy swej własności od sąsiadów, bo odgraniczenie dużo kosztuje, chyba tylko w wyjątkowych razach to poczyni.

Co się tyczy administracyi, to kolej krajowa żadną miarą nie może być administrowaną według wzorów dzisiejszych naszych kolei lokalnych, gdyż te, lubo są taniej administrowane, aniżeli koleje zwykłe, zawsze jeszcze mają urządzenie, które niepotrzebnie podrożają administracyę.

Będzie więc wskazanem użytkować ile możności pracę kobiet, która jest akuratną i tanią. Kobiety są służbiste i zadowalają się mniejszą płacą, albowiem uważają czynności kolejowe, jako uboczne źródło swego zarobku. Naczelnikiem stacyi, a więc zarazem urzędnikiem ruchu i kasyerem będzie żona, córka, siostra, lub gospodyni właściciela, administratora, lub arendarza budynku stacyjnego.

Kilometr kolei krajowej, kosztować będzie wraz z urządzeniem i taborem przewozowym: okrągło, co najwyżej 10.000 zł.

Jeżeli kapitał ten ma być umorzonym w 20 latach, natenczas wynosi roczny wydatek 500 zł. na kilometr kolei.

Ponadto są jednak i inne wydatki. Roczne koszta kilometra kolei przedstawiają się w sposób następujący:

Umorzenie kapitału zakładowego 500 zł., fundusz rezerwowy 145 zł., zarząd centralny 143 zł., trakcya 251 zł., konserwacya 203 zł., rozmaite 58 zł., razem 1300 zł.

Tyle złotych przynosić więc powinien każdy kilometr kolei krajowej, co roku, jeżeli kolej ma się opłacać.

Przychody naszych kolei lokalnych wynoszą rocznie przeciętnie 2.308 zł. na każdy

kilometr kolei, są więc przeto półtora razy większe, niżby być potrzebowały do opłacania się kolei, gdyby koleje te były kolejami krajowemi w tem znaczeniu, jak to już opisano.

„Budujmyż więc koleje — pisze autor — a znikną utyskiwania na naszą biedę, na rząd, który nam dosyć jałmużny nie wydziela i na stosunki, które nam niby pracować nie dozwalają."

Nowy Prezydent kolei państwowych.

Na innem miejscu podnieśliśmy znaczenie nominacyi dra Bilińskiego ze stanowiska polityki ekonomicznej kraju. Tutaj pragniemy skreślić w ogólnych zarysach *„curriculum vitae"* głośnego ekonomisty, którego powołano na tak wybitne stanowisko.

Prof. Dr. Leon Biliński, urodził się dnia 15 czerwca 1846 w Zaleszczykach pod Dniestrem we wschodniej Galicyi, a uniwersytet ukończył we Lwowie i w młodości swej już niezwykłemi zdolnościami i pracowitością zwracał na siebie uwagę profesorów. W dniu 31 grudnia roku 1867 uzyskał stopień doktora praw, a już w następnym roku habilitował się na uniwersytecie lwowskim, jako docent ekonomii społecznej. W roku 1871 mianowany profesorem nadzwyczajnym, został w roku 1874 zwyczajnym profesorem ekonomii i nauki skarbowości na tutejszej wszechnicy. Koledzy wybrali go w roku 1876 dziekanem fakultetu prawniczego, a w roku 1878 rektorem uniwersytetu. Z tego czasu pochodzą liczne jego dzieła z zakresu ekonomii i skarbowości, w szczególności zaś z zakresu kolejnictwa.

Prócz znakomitych podręczników „Ekonomii politycznej" (dotychczas dwa wydania, drugie w dwóch tomach) i „Nauki skarbowości", wydał dr. Biliński liczne dzieła większe i mniejsze rozprawy tak w języku polskim, jak i niemieckim, z których przytaczamy: „Die Luxussteuer als Correctiv der Einkommensteuer" (w Lipsku r. 1876), „Die Eisenbahntarife" (w Wiedniu 1865), „Die Stellung des Vermögens- und Verkehrssteuern im Steuersystem" (1876), „Die Gemeindebesteuerung und deren Reformen" (rok 1878). Akademia Umiejętności w Krakowie mianowała go w roku 1876 swoim zwyczajnym czynnym członkiem; prócz tego jest dr. Biliński honorowym członkiem francuskiego Towarzystwa „Société pour l'étude des questions d'ens ignement supérieur". Cesarz nadał mu w roku 1887 krzyż komandorski orderu Franciszka Józefa.

W pracach Sejmu naszego brał żywy udział w roku 1878, jako rektor lwowskiego uniwersytetu. W radzie miejskiej Lwowa pracował gorliwie w ciągu kadencyi od roku 1880 do 1883. Do rady państwa należy, jako poseł z kuryi miejskiej ze Stanisławowa, od marca roku 1893 W pracach parlamentu zarówno w kadencyi poprzedniej, jak i obecnej, brał udział niezwykle czynny; liczne jego referaty i mowy, nawiasem mówiąc, jedne z najlepszych, jakie można było usłyszeć w parlamencie, dotyczyły z reguły kwestyj fachowych, ekonomicznych.

Kiedy dr. Biliński pisał referat swój: „Die Eisenbahntarife" na zjazd ekonomistów we Wiedniu w roku 1875 — nie mógł przypuszczać, że propagowany przezeń w nauce system tak rychło zwycięży i że w przeciągu lat 16 powstanie w Austryi olbrzymi kompleks kolei państwowych, którym kierować jemu przypadnie w udziale. Mowa, którą p. prezydent powitał swoich podwładnych w dyrekcyi generalnej, zrobiła w kraju jak najlepsze wrażenie, gdyż dr. Biliński znacząco w niej podkreślił, iż nadal zamierza gorliwie pracować dla dobra ekonomicznego Galicyi.

CO I GDZIE KUPOWAĆ?

(Rzecz o handlach krakowskich.)

Ponieważ pismo nasze wychodzi w Krakowie, przeto w pierwszym rzedzie winniśmy omówić ruch handlowo-przemysłowy krakowski, poczem pisać będziemy o handlu i przemyśle tych wszystkich miast i okolic, w których pismo nasze ma najwięcej czytelników. Wiele, bardzo wiele względów złożyło się na to, że w powyższej kwestyi zabieramy głos. Chodzi nam przedewszystkiem o wskazanie kupującym rzetelnych źródeł, z których czerpać mają to, co im do codziennego użytku jest najniezbędniej potrzebne, i to, co ich wygodzie i upodobaniom dogadza. Omówić pragniemy w pierwszym rzędzie wszystkie owe produkty, które w mieście naszem mają największy odbyt, i wskazać firmy, posiadające towar wyborowy i w cenie umiarkowany. Sąd nasz w tej mierze oparty na doświadczeniu, będzie bezstronny. W ocenie zaś towarów kierować się będziemy zasadą:

„Precz z blagą!"

Gustowny wyrób — rzetelny materyał i cena, jak wyżej rzekliśmy: przystępna — oto punkt wyjścia dla niniejszego artykułu. Sądzimy, że nietylko kupcy i przemysłowcy, dla których padnie słowo zasłużonego uznania, radzi będą sprawie przez nas poruszonej, ale i publiczność kupująca, w interesie której artykuł niniejszy piszemy — szczerem uznaniem nam za to zapłaci.

Śledzimy pilnie ruch handlowo-przemysłowy w kraju naszym i nadziwić się niemożemy tej bezczelnej bladze, podkopującej rzetelną wytwórczość krajową i byt uczciwie prowadzonych firm handlowych.

Że kraj nasz, a w szczególności miasto Kraków, posiada wiele handlów z towarami najprzedniejszych gatunków, temu chyba nikt nie zaprzeczy, a przecież więcej zysków ciągną z nas wiedeńscy kramarze i wykpigrosze, niźli kupcy znani z uczciwości i wytwornego gustu zawodowego.

Nie mniej dziwi nas, że pisma krajowe nie podnoszą silniejszego głosu w tak ważnej sprawie dla ostrzeżenia publiczności przed jawnym rozbojem rzeczonych wykpigroszów. Za granicą wszystkie niemal dzienniki zamieszczają od czasu do czasu artykuły, omawiające pojedyncze gałęzie handlu i przemysłu, a opisując towar z jego strony praktycznej i estetycznej, chronią kupujących od marnowania grosza i wpływają na powszechny gust.

Gust kupujących

dzięki usuwaniu się znawców od krytyki towarów jest u nas wielce niewyrobiony — a częstokroć poprostu banalny. Wszystkie wyroby tak zwane „francuzkie" galanteryjne, jak nie mniéj wyroby dekoracyjne, tak zwane „chińskie" lichego rysunku i wykonania, dalej fuszerskie obuwie z fabryk wiedeńskich, wybrakowane materye na suknie, które w Wiedniu były w modzie u kucharek i pokojówek, wyroby porcelanowe, wykonane w niemieckim obrzydliwym stylu, bez najmniejszej elegancyi, dalej meble liche, z rzeźbami podobnemi do brzydkich rzeźb piernikarskich i t. p. przedmioty, które w ogromnych ilościach rok rocznie przechodzą w posiadanie kupujących, dowodzą zupełnego zaniku gustu u kupującącej publiczności, która idzie na lep „kolorków" i tak zwanej „taniości" towarów.

Gdybyż publiczność nasza raz chciała zrozumieć, że za lichy towar w stosunku do jego lichoty płaci zawsze co najmniej 50% drożej, aniżeli za towar rzetelny, to z pewnością mniejby wydawała pieniędzy, a przez to samo mniejby było biedy i narzekania. Bo proszę zważyć: Jeżeli np. za parę trzewików wyrobu fuszerskiego, płacę 5 fl. i noszę takowe miesiąc, to jaki procent nadwyżki płacę wyzyskującemu handlarzowi, skoro u rzetelnego kupca zapłaciłem za parę trzewików 7·50 do 8 fl. i noszę takowe pół roku? Smutny wniosek wypływa z powyższego przykładu: stosunek trwałości towaru fuszerskiego w stosunku do jego ceny i do ceny towaru rzetelnego ma się w tym wypadku jak 30 do $7^1/_3$ złr. Co się zaś tyczy gustu w wykonaniu przedmiotu niby tańszego a owego niby droższego, to szkoda zapuszczać się w jakiekolwiek porównanie.

To samo dotyczy wszystkich innych wyrobów i towarów, obliczonych na wyzyskiwanie publiczności. Nieoględni tracą dużo pieniędzy i nigdy nic porządnego nie mają. A przecież nie można powiedzieć, iżby Kraków pod względem handlowym stał tak nisko... Przeciwnie, twierdzimy stanowczo, że w Krakowie istnieją handle, zasortowane najlepszymi produktami wszelkich gałęzi i że tu, bardziej niż w innych miastach Galicyi, zwracają kupcy uwagę na wykwint i dobór towarów; zwłaszcza, że mają do czynienia z publicznością przejezdną szczególnie z Królestwa, która smak estetyczny ma bardziej od publiczności miejscowej wyrobiony. Trzeba tylko umieć zdrowo patrzeć na rzecz, a z pewnością unikniemy fatalnych skutków, jakie zazwyczaj sprowadza uprzedzenie do tak zwanych „tanich" produktów. Przejdźmy kolejno wszystkie rzetelne firmy handlowe krakowskie, rozpatrzmy ich towary, a z pewnością spadną nam z oczu łuski i... pozbędziemy się wszelkiego uprzedzenia.

Elegancya, dobroć i wybór towarów

zajmie przedewszystkiem naszą uwagę, co się zaś tyczy cen przystępnych i umiarkowanych, to każdy z handlów, o których pisać będziemy daje pod tym względem zupełną rękojmię.

Od jakich zatem produktów mamy zacząć?

W tym wypadku nie chcemy się krępować żadną chronologią — pierwszy lepszy handel, którego towary są nam dobrze znane — da nam wątek do szeregu uwag... A zatem... Rzućmy okiem na jednę z najstarszych firm handlowych: Andrzeja Schultza.

Sto kilkanaście lat istnieje ta firma w Krakowie, ale nie owo długoletnie istnienie jest jej zasługą, ale to, że przez przeciąg tego czasu stała na wyżynie swego zadania, że

Nr. 2. Kraków, 15 Stycznia 1892 r. Rok II.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi w Krakowie:
rocznie . . . 7 złr. 20 centów
kwartalnie . 1 „ 80 „
miesięcznie . — „ 60 „
Za odnoszenie do domu dopłaca się miesięcznie 5 ct.
Numer pojedynczy kosztuje 30 ct.
Rękopismów drobnych nie zwraca się.

MYŚL

Prenumerata na prowincyi
i w całej Monarchii Austro-Węgierskiej wynosi
rocznie 8 złr. — ct., kwart. 2 złr. — ct.
W Niemczech:
rocznie 16 m., pół rocznie 8 m., kwartał. 4 m.
We Francyi:
rocznie 20 franków, kwartalnie 5 fran.
Ogłoszenia i reklamy przyjmuje Administracya „MYŚLI“ po 10 ct. za wiersz petitem lub jego miejsce za pierwszy raz, a po 5 ct. za następne.

Redakcya i Administracya znajdują się w Krakowie przy ulicy Zielonej L. 8, gdzie też uprasza się nadsyłać wszelkie przekazy i pisma. — Prenumeratę przyjmują również na miejscu wszystkie księgarnie; we Lwowie księgarnie: Seyfartha i Czajkowskiego oraz Altenberga, a pojedyncza sprzedaż w biurze L. Plohna. W Poznaniu: księgarnia J. Leitgebra.

TAJEMNICE ŻYCIA NARODOWEGO.

II.

W poprzednim numerze „Myśli“ poruszyliśmy kwestyę ważną, bo kwestyę bytu i życia narodów, mając jednak na oku głównie społeczeństwo własne. Nie wątpimy, że wielu naszych rodaków musiała niekiedy zajmować myśl: jakim sposobem się to dzieje, że pomimo tylu smutnych i ciężkich warunków, wśród których żyjemy, i pomimo złowrogich proroctw nieprzyjaciół, i niestety, często własnych współbraci, nie brak przecie życiu temu chwil jaśniejszych, a w ogóle nie braknie nigdy niezgłębionej nadziei?

Odpowiedź na powyższe zagadnienie jest także jedną z tajemnic życia narodowego. Ale tajemnice podobne powinny być znane całemu społeczeństwu, powinniśmy myśleć nad przyczynami niezłomności charakteru narodowego, bo w przyczynach tych odnajdziemy cnoty. Naturalnie, że wytrwałość ową widzimy tylko w całem pasmie życia pokoleń, że ją pojmujemy jako objaw, znamionujący jedno z pokoleń mocniej, inne słabiej, ale zawsze jednolitą ze względu na cel główny: ideę narodową.

Do tej cnoty ogólnej, brakuje nam cnót szczegółowych, to jest wytrwałości w pracach poziomych, wytrwałości w pracach jednostek, a z drugiej strony podniosłości umysłu u tych znowu jednostek, które posiadają żelazną wytrwałość, ale jedynie dla siebie. Według nas wytrwałość podobna nad własnem dobrem, powinna się ściśle łączyć z myślą o całym narodzie. — Jeżeli robię cokolwiek i zyskuję dobra materyalne, to gromadzę je po to, ażeby w danej chwili mieć środki do poparcia sprawy narodowej. To powinno być hasłem, głębokiem przekonaniem, wiarą, gwiazdą, najwyższym rozumem politycznym każdego obywatela polskiego. Tak być powinno i gdzieindziej, ale nas tu przedewszystkiem zajmuje własny organizm

Wróćmy do przyczyn, które w społeczeństwie naszem wyrobiły nieocenioną dotychczas cnotę, jakeśmy nadmienili, powtarzającą się w każdem pokoleniu. Doktrynerowie gotowi zbyć podobne zagadnienie łatwą odpowiedzią: że innymi być nie możemy, bo tak nas wychowała wiara ojców naszych. Na pozór to prawda, i prawda cała; w istocie, to jedna setna prawdy.

Walną, główną, jedyną przyczyną objawów ciągłości idei narodowej, to nasze wychowanie polityczne. Wychowanie to odbierali nasi praojcowie, ojcowie i najmłodsze pokolenie z r. 1863 w życiu publicznem, na placu boju, w przygotowaniach do wojny, odbierali je na śniegach Sybiru, na stokach cytadeli, w więzieniach, w poświęceniach, zrzeczeniach wszelkiego rodzaju. To nie szkoła w ciasnem znaczeniu murów szkolnych, to nie system obmyślony przez filozofów i pedagogów, to system wspanialszy, to z konieczności podyktowany przez cały naród, system każdego społeczeństwa, które żyć chce i żyć musi.

Nikczemnicy i sybaryci nazwali to szaleństwem. Nie wymyślili nic nowego, bo powtórzyli tylko odmienne słowa despoty północnego. Rzeczywiści politycy i dyplomaci rzekli w duchu: Patrzcie, naród ten jednak nie stracił zmysłu politycznego. Ale mieliż wam to powiedzieć głośno? W istocie, naród daje dowody najwyższego rozumu politycznego, gdy się o życie godne narodu dopomina. Tuzinkowi politycy myśleli, że upominać się o to można w przedpokojach carskich. Bawili się, zamiast pracować, bo nie wiedzieli, że każdy polityk o tyle tylko ma znaczenie, o ile go popiera siła jedynego pod słońcem systemu w sprawach międzynarodowych.

Krwawa szkoła narodowa życia publicznego ma te zalety, że w niej nie uczy się naród rzeczy mniej potrzebnych, nie uczy się tego, jakim sposobem ma być lepiej nieprzyjaciołom, ale jakim sposobem ma być lepiej jemu samemu. Może kto powie: egoizm? Ale bez takiego egoizmu nie ma dobra ludzkości. To taki sam egoizm w stosunku do ludzkości, jakim jest egoizm patryoty w stosunku do całego narodu.

Któż nie przyzna, żeśmy się powinni uczyć rzeczy i cnót jedynie najpotrzebniejszych? Uczymy się ich w takich latach błogosławionych dla przyszłości, jak rok 1794, 1812, 1831 i 1863.

Czy jednak system, dyktowany sercem narodu jest bez zarzutu? Odpowiadamy śmiało, że niema w nim żadnej wady, tylko wykonanie bywa spaczone. Nie ogół błądzi, ale jednostki, nie uczniowie, ale nauczyciele często bez energii i wiary w to, co robią.

Czy kiedykolwiek doświadczenie zebrane w owych prelekcyach czynów narodowych, staje się własnością narodu, przechodzi w krew i umysły? Dotychczas nie, bo wątpliwego charakteru i miałkiego rozumu rodacy biorą się do krytyki bez miłości narodu.

Nie szukają środków realnych zbawienia, ale zadawalniają swoje ambicye i znamię chełpliwości, że przecież coś rozumnego wielce powiedzieli. Rozumnego? Tak mniemają. Zaczynają być wielkimi politykami, gdy naród już nie potrzebuje polityków; są jasnowidzącymi kuglarzami, gdy się już groby zamkną nad uczciwemi sercami — nie umieją tylko być prawdziwymi obywatelami w niedoli narodu. Nie wyjdzie z ich ust słowo: pracujmy dziś na wskrzeszenie z lepszym skutkiem systemu narodowego.

Do lepszych skutków bowiem trzeba ciężkiej, rozumnej i jedynie w duchu narodowym pracy; potrzeba zrzec się próżności, potrzeba być cichym a ożywionym nadzieją; potrzeba wyrzec się w danym razie stanowiska pozornie narodowego; potrzeba nadewszystko samemu być karnym, gdy się do karności nawołuje.

Mówią jednak, że wiele środków istnieje i że wiele głów, tyle środków do celu narodowego bytu, ale to fałsz. Mówią tak ludzie, hołdujący swemu ja, albo głupcy. Ogół zaś czuje i wie, kto postępuje w duchu uczciwym i wyrobiłby karność w szeregach swoich, ale za ojczyznę, nie za to, żeby kuglarze zdobywali synekury upadlające, znowu niestety, ludzie o krwi polskiej.

Bez okresu cichego poświęcenia, bez wyrobienia w tym okresie karności w narodzie, bez tych na czele, którzy, celując zdolnościami, potrafią się wyrzec próżności i ambicyi nikczemnej, bez tego wszystkiego, zapewne, mało pomogą i głośne poświęcenia, gdy nadchodzi chwila czynów. Ale nie pomagając do ostatniego celu, są one wzorową szkołą charakteru narodowego.

Sądzimy jednak, że jeśli częściej i usilniej zastanawiać się zaczniemy nad powyższemi zagadnieniami, to na koniec większość uczciwa odmówi wiary i poparcia ludziom, którzy nie ogół, nie społeczeństwo całe i ojczyznę mają na oku i na celu, ale własne, mniej lub więcej poziome aspiracye. Obowiązek dyktuje nam jedno tylko i środek osiągnięcia celu idei narodowej równie jeden: Myśleć i pracować nad tem, ażeby to, co dyktuje serce, wykonywał rozum, ażeby karność objawiła się w chwili, gdy w istocie żyć zaczniemy znowu publicznie w Europie.

GENEZA WIERSZA ADAMA MICKIEWICZA „DO MATKI POLKI“.

„Adam napisał wiersz nowy — donosi Odyniec — ale jaki! Dawno już nie pamiętam, żeby mię co równie wzruszyło. A i w głosie jego, gdy czytał, znać było z jakiem uczuciem go pisał. Tytuł prosty „Do matki“. ale nastrój Izajaszowy. *Utinam falsus sit propheta*“. Genezą jego są pamiętniki Ogińskiego i rozmowy z nim samym. Musiał go układać dziś rano, kiedy ja właśnie rozumiałem, że drzemie, a przepisał to z pamięci, podczas gdy spacerowałem z Anglikiem. Bo zaledwieśmy wstali od stołu, pociągnął mię za rękę i szepnął, abym wyszedł za nim sam jeden. Weszliśmy do jakiegoś ogródka, tam siadłszy na niskim płotku, powiedział mi naprzód o tem, a potem do-

był rękopism, bez żadnej mazaniny, od razu widać przepisany na czysto. Wysłuchałem go, przeczytałem i powtórzyłem na pamięć". Bliższego wyjaśnienia wymaga podana tu wiadomość o wpływie Michała Ogińskiego, piastującego pod koniec Rzeczypospolitej, a potem w epoce Księstwa warszawskiego wysokie godności i urzędy, autora „Pamiętników" z lat 1787—1815, znanych Mickiewiczowi zapewne tylko z oryginału francuskiego (*Memoires de Michel Oginski sur la Pologne et les Polonais.* Paris 1826—1827, 4 vol.; przekład niemiecki wyszedł prawie równocześnie w Lipsku 1827, a polski dopiero 1870 w Poznaniu). Nie był to mąż niezłomnej woli i energii, charakter jakiejś idealnej siły i ogniotrwałości, któryby umiał stawić czoło okolicznościom, nie uledz ich burzom i wichrom, ale książę umiał upiększać swoje czynności, a przedewszystkiem żywo i barwnie opowiadać o Litwie, o tamtejszej szlachcie, o „niepowrotnie minionej" przeszłości, co budziło zawsze żywy odgłos w sercu Adama. Na kartach pamiętników księcia występowały czarnym okryte kirem nieszczęścia, których Ojczyzna nasza padła ofiarą, a straszliwe przykłady ucisku i prześladowania Polaków, mogły wywołać uczucia rozpaczy i zwątpienia. „Mówię tu — pisze Ogiński w swych „Pamiętnikach" — o Polakach, jak ich można było uważać i poznać od 50 lat dręczonych, prześladowanych, uciśnionych — spoglądających na kraj swój, nękany wojnami domowemi, które nieprzyjaciele ich wzniecali, aby ich rozdzielać, osłabiać i zupełnie zgubić; mówię o tych Polakach, którzy, ujrzawszy Ojczyznę swą rozszarpaną w kawały i znikającą ostatecznie z rzędu mocarstw europejskich, nie przestali ją mimo to kochać, a pragnęli żyć tylko, aby ją z popiołów zmartwychwzbudzić, mówię o tych Polakach, którzy pośród zamieszań i klęsk, pustoszących kraj, zachowali niewzruszoną odwagę, którzy umieli być obojętnymi na groźby, oprzeć się pokusom, poddać się natarczywej konieczności ustępowania sile, nie naginając się przecież z podłością i nieustępując z drogi czci i obowiązku; mówię o tych Polakach, którzy nie wahali się być raczej wywiezionymi na Sybir, aniżeli się wyrzekać patryotycznych zasad, o tych, którzy biegnąc pod sztandary Kościuszki mieli odwagę chcieć obmyć we własnej krwi hańbę i poniżenie, jakiemi usiłowano okryć naród polski; o tych nareszcie, którzy po smutnym podziale nie przestali pracować nad przywróceniem Polski i mieli odwagę nie stracić nadziei, że jej jeszcze mogą być użytecznymi". — Takie opowiadania nie przechodziły przez duszę poety, jak wiatr przez stepy, trudno jednak określić, ile dostarczyły ziarna do posiewu myśli, złożonych w wierszu „Do matki Polki"; sama droga od zgrzybiałości Pamiętnika do żywej poezyi jest arcydługa i niezbadana. Raczej przypuszczaćby można, że rozpaczliwe położenie kraju przed powstaniem listopadowem, czego sam doświadczał w kraju, o czem głuche dochodziły wieści i na wygnaniu, dostarczyły głównego wątku do osnowy. Ustosunkowanie uczucia twórcy „Wallenroda" do przemocy wroga, nieprzełamanej żadną siłą fizyczną, ustosunkowanie, zawarunkowane rzeczywistością beznadziejną, nadało zasadniczy koloryt ponuremu obrazowi. Roztacza on przed oczyma matki dolę jej dziecięcia, nieodrodnego syna swych dumnych i szlachetnych przodków. Okuty w niewoli nie zerwie jej łańcuchów, ani nie pójdzie krwią orać na wolność, udziałem jego, kiedy innym „zakwitnie świat cały", skon bez chwały, bez nagrody, bez zmartwychwstania... Wychowanie macierzyńskie, jedyne nieugaszone ognisko narodowości, ma się z temi warunkami liczyć, ma wcześnie przysposabiać do życia w cytadeli lub na Szpilbergu, w minach podziemnych lub na lodach Syberyi. Ma hartować ciało i duszę młodzieńca, wyrabiać w nim żelazną siłę woli, iżby nie uległ pokusom, ani poddał się w słabości, „by przed katowskim nie zbladnął obuchem, ani się spłonił na widok powroza", ma nagiąć ducha jego do dźwigania taczki męczeństwa, a ciało przyzwyczaić do wszelkich mąk i udręczeń. Co więcej, ma się nauczyć ukrywać swe pragnienia i myśli, być wobec wroga jak lis chytry, a jak wąż śliski i zimny, — i truć go jadem z nienacka, podstępnie — ma być jak wulkan przygasły, który masą lodu przywalony z wierzchu, żywi w swem wnętrzu płomienne zarzewie i czeka aż nie wybije godzina, kiedy wysadzi górę i wyzionie lawą. Bo że to cierpienie nie ma być bierne, ascetyczne, ale odporne, czynne, tego dowodzą niezliczone katusze syna, otrzymane przecież nie w nagrodę za owcze zginanie karku, lecz znoszone z rezygnacyą jako kary za „bunt", za cichą walkę z wrogiem.

Dr. Chmielowski w dziele o Mickiewiczu, zarzuca poecie, że stawiając Polakom za wzór Chrystusa, piastującego już w dzieciństwie „krzyżyk, na którym świat zbawił" nie rozszerzył tego porównania aż do skutków „piastowania" swego krzyżyka, ale poprzestał na zaznaczeniu cierpienia, jako konieczności nieodwołalnej, że poeta w pesymistycznem usposobieniu nie pokazał młodemu pokoleniu, a więc i całej Ojczyźnie żadnej jaśniejszej, choćby dalekiej perspektywy. Pod obuchem cenzury nie podobna jaśniej sformułować zarzutu. — O ile jednak wyrozumieć mogłem, wydaje mi się niewłaściwem i wprost przez krytyków narzuconem wymaganie od poety, aby w wierszu lirycznym przedstawił przyszłe skutki niewoli i męczeństwa dla Ojczyzny. W radach poety, udzielonych kobiecie polskiej, położono głównie nacisk na najbliższe dla jej syna skutki: Sybir albo szubienica, to cała perspektywa... co zaś będzie w dalekiej przyszłości, o tem nie wiedzą ani poeci ani krytycy, ani nawet socyologowie. Z tego jednak, że jedno pokolenie — bo w takie ramy ujął poeta swój obraz — padnie ofiarą gwałtu, nie wynika wcale zagłada bytu narodowego w ogólności. O zmartwychwstaniu Polski nie wątpił Mickiewicz nigdy, ani też nie wyraził takiego zwątpienia w wierszu „Do matki Polki". Boleść tylko i żal niewymowny zrodziły tę gorycz, ironię na widok szczęśliwszych na-

DLACZEGO?

NOWELA.

(Ciąg dalszy).

Wyszłam zatem za mąż za człowieka, który pracuje na kawałek chleba, nie jest nawet z mojej sfery, żeby raz przestać nosić przenoszone suknie moich sióstr i nie brać potraw przy szarym końcu stołu.

Teraz już przyzwyczaiłam się do niego, szanuję go i oceniam — tylko...

Tylko dziesięć razy na dzień pytam:

— Dlaczego on ma takie zwyczaje, a nie inne — dlaczego?... dlaczego?...

„Dlaczego" było od dzieciństwa ulubionem mojem słowem.

Gdy byłam jeszcze na pensyi zawsze przerywałam lekcye tem samem zapytaniem.

Prawie zawsze cierpliwie objaśniono moją ciekawość — tylko raz..

Przypominam sobie na wykładzie zoologii, gdy przyszła kolej na ptaki, a profesor z całą powagą mówił:

— Bocian jest ptakiem, który poważne zajmuje stanowisko u nas...

— Dlaczego? — zapytałam wstając.

— Bo, — ciągnął pan profesor — bocian jest ptakiem, który...

— Który przynosi... — przerwałam, nie mogłam jednak dokończyć tryumfująco moich wiadomości, bo w tejże samej chwili uczułam na mojem ramieniu rękę przełożonej pensyi...

— Proszę lekcyi nie przerywać ciągłem zapytaniem „dlaczego" — powiedziała to jednak tak surowo... i była tak czerwona...

Niektóre panienki śmiały się cichaczem, trącając się łokciami — a profesor nos obcierał bez końca...

Życie coraz więcej wyjaśnia mi moje „dlaczego" ale wtenczas — nie mogłam zrozumieć, dlaczego tym bocianem spłoszyłam tak wszystkich.

Długo jeszcze niecierpiałam tego ptaka, bo po lekcyi musiałam napisać po sto razy, w czterech językach, ten sam wyraz.

Przestałam od tego czasu się pytać, tylko to słowo tak mi utkwiło w pamięci, że je ciągle miałam na języku — i choć w myśli powtarzałam, — Warum, pourquoi, why, per chè?...

* * *

Od jakiegoś czasu przestałam się uskarżać, bo jestem pod wpływem jednej dziwnej myśli, która mnie tak ożywia...

Przyjaciółka moja Olga, młodsza, ładniejsza i szczęśliwsza odemnie mężatka, była u mnie przed kilkoma dniami.

Czesałam właśnie długie moje czarne włosy i patrzyłam w lustro, myśląc, o ile ja byłabym ładniejszą gdybym... nagle wpadła Olga.

— Moja Alineczko! — zawołała ode drzwi.

— Pojedziesz dziś ze mną do wróżki?

— Do wróżki — powtórzyłam, odwracając głowę.

— Tak do wróżki, tylko...

Przyłożyła paluszek do ust.

— Tylko cicho, sza, nic o tem twemu mężowi...

— Bo... ciągnęłam zaciekawiona, patrząc na jej śliczny, świeży, jesienny le dernier chic płaszczyk.

— Bo mógłby ci nie pozwolić.

— A twój? — pytałam dalej.

— Ach! — zawołała, ja go się nie pytałam.

Tajemnica przed mężami dodała mi jeszcze ochoty; w monotonnem mojem życiu, w walce o codzienne potrzeby, każda rzecz niezwykła wywierała na mnie urok. tak pociągający, iż nie wahałam się ani chwilki.

rodów, wyzwalających się z pod jarzma niewoli, kiedy polski jęczał w okowach.... Pragnąc zedrzeć ostatnią złudzenia zasłonę z duszy pokolenia marzycieli, maluje im nagą, straszną rzeczywistość, a tak ufa w miłość Ojczyzny matek polskich, że nie waha się użyć najczarniejszych barw, bo wie, że od ofiary na ołtarzu Ojczyzny nic ich nie odstraszy. Taka jest zasadnicza myśl wiersza, który uznała nowsza krytyka za „etycznie i estetycznie mętny i niezadawalający“, a który dla nas jest zupełnie jasny i przekonywający. (D. c. n.)

Dr. Henryk Biegeleisen.

LISTY WARSZAWSKIE.

I.

Oj, smutno tu u nas, smutno w Warszawie! Coraz większa niewola, coraz większy ucisk i prześladowanie. Serce doprawdy kraje się w piersiach na widok tylu bezprawi i gwałtów, zainicyowanych z góry przez rząd i wykonywanych z całą systematycznością i gorliwością przez jego czynowników.

Źle nam było pod rządami liberałów Aleksandra II, ale o wiele, wiele gorzej jest nam dzisiaj. „Ruska myśl“ nie próżnuje. Choć chwilami przycichnie, mimo to jednak przeprowadza się z całą bezwzględnością, dążąc brutalnie do zmoskwiczenia ziem, odwiecznie polskich; każdy ukaz, każde nowe rozporządzenie rządowe jest tego najlepszym dowodem. Najnowszem dla nas dobrodziejstwem jest okólnik wydany przez ministra oświecenia w porozumieniu z ministrem spraw wewnętrznych do wszystkich kuratorów okręgów naukowy, aby „nauczyciele i uczniowie wszystkich zakładów naukowych, o ile są wyznań chrześciańskich, obowiązkowo obecni byli w dni galowe na nabożeństwie, odprawianém przez duchowieństwo prawosławne.

Jaką głównie narodowość ma na celu powyższe rozporządzenie nietrudno się chyba domyśleć. Gorzej się jeszcze ma rzecz z wprowadzeniem języka rosyjskiego do Kościoła. Sprawa ta znów poruszoną została w sferach rządzących gabinetu petersburgskiego. Prowadzi się już ona od r. 1868 i od tego czasu nie ma środka tak nikczemnego i wstrętnego, któregoby się nie chwytano, ażeby dopiąć powyższego celu.

W roku tym dziennik ministeryalny „Siewiernaja Poczta“ w numerze 278, pierwszy podał myśl wprowadzenia języka rosyjskiego do kościołów naszych. Artykuł ten został natychmiast przedrukowanym przez całą prasę rosyjską w Wilnie i w Kijowie; „Warszawskij Dniewnik“ podał nawet prócz tekstu rosyjskiego i przekład polski.

Artykuł ten głosił wówczas, że jeżeli Rosya chce zdławić Ideę Jagiellońską w ziemiach polskich i przerobić Polaków na Rosyan, to powinna pamiętać zawsze o tem, że najpierwszym kardynalnym warunkiem pomyślnego załatwienia tej słusznej i ważnej dla Rosyi sprawy — jest wprowadzenie do naszego nabożeństwa języka rosyjskiego. Słuszność odniosła najzupełniejszy tryumf, skutkiem bowiem tego artykułu w następnym zaraz roku padło biskupstwo Mińskie, a rząd wziął się na seryo do urzeczywistnienia tej myśli.

Na jakiś czas ucichło o tem, lecz tak słuszne i ważne myśli nie giną w zapomnieniu. Dziś znowu wydobyto na jaw tę sprawę i zdaje się, że postawiono ją na ostrzu noża. Skoro zaś rząd dopnie swego, wówczas i reszta pójdzie łatwiej. Wówczas, jak powiedział jeden z naszych braci, usuną się ławki pod pozorem zwiększenia się przestrzeni, usuną organ pod pozorem zapobieżenia niebezpieczeństwu zawalenia się chóru, usuną się boczne i kapliczne ołtarze, aby nie zabierały miejsca, słowem wszystko robić się będzie w ojcowskiej pieczołowitości o dobro umiłowanych poddanych, a tak w ciągu najdalej lat 20 zmieni się kształt szat kościelnych i sposób mszy św. — słowem wszystko dotychczasowe, co było rzymskiem, stanie się prawie niepostrzeżenie rosyjskiem, a co zatem idzie prawosławnem. Święte i prorocze to wyrazy. Siła wszystko zrobić może, prócz, na nasze szczęście jednego, nie może ona ugiąć, a tembardziej złamać, wynarodowić ducha; duch ten w nas silny i niezwalczony jest naszem dziedzictwem, naszą dźwignią i całą naszą nadzieją lepszej przyszłości.

O wprowadzeniu języka rosyjskiego do naszego Kościoła, jeżeli zostanie wydanem w tym duchu jakie nowe rozporządzenie, to doniosę wam o nim w następnych korespondencyach — w tej chwili ograniczę się tylko na tem, i przejdę do dalszych dobrodziejstw, jakiemi obdarował nas świeżo nasz rząd ojcowski. Oto na drodze żelaznej dąbrowskiej zostało ponowionem przez naczelnika warszawskiego okręgu żandarmskiego rozporządzenie, ażeby przedsięwziąć bezwłocznie energiczne środki, mające na celu zupełne wykluczenie używania języka polskiego zarówno przez służących na drodze żelaznej, jak również i utrzymujących bufety i służbę bufetową. Nie wolno jest mówić po polsku w salach pasażerskich ani między sobą, ani też tembardziej do publiczności.

W konkluzyi powiedzianem jest, że winni przekroczenia powyższych przepisów, jako nie władający językiem ruskim, lub też nieposłuszni władzy, a tem samem nie zasługujący na zaufanie pod względem politycznym, będą natychmiastowo zwalniani ze służby.

Niewolno więc nam porozumiewać się w ojczystym języku nawet na kolejach i w bufetach stacyjnych. Musimy się wprzódy nauczyć po rosyjsku nazw potraw obiadowych, ażeby módz żądać ich od służby.

Charakterystyczne — wszak prawda? Niedługo każą nam odkrywać głowy i żegnać się krzyżem prawosławnym przed ikonami, które już obowiązkowo znajdować się muszą w każdej sali pasażerskiej.

— Dobrze, — zawołałam z roziskrzonemi oczami, ściskając ją serdecznie — pojedziemy, ale o której?

— O piątej, jak się ściemni przyjadę po ciebie fiakrem.

— Licz na mnie jak...

Nagle zerwała się, usłyszawszy kroki mego męża, którego nie lubiła i unikała, o ile mogła.

Chciałam się jej jeszcze zapytać, — dlaczego właściwie chce jechać do wróżki, ale kroki mego męża zbliżały się coraz więcej... Myślałam o Oldze, o jesiennym jej płaszczyku — choć oczy moje z całą uwagą utkwiłam w talerz małżonka; pałaszował jak zwykle.

Niecierpliwił mnie więcej, jak kiedykolwiek, a maniery jego *me donnaient sur les nerfs*.

Dlaczego on zawsze je nożem?

Szczęśliwa moja przyjaciółka! ma wszystko, czego pragnie — majątek, złote włosy, i mąż jej...

Oczy moje niechętnie spoczęły na nożu, który mąż mój niósł do ust.

Zwykle po wizycie Olgi jestem czegoś rozdrażnioną — i wszystko mnie więcej razi...

Elegencya jej, szyk, wykwintne ułożenie wywierają na mnie silny wpływ, który przez jakiś czas zraża mnie coraz więcej do tego, co widzę w domu...

— *Mais, c'est un jongleur que ton mari*, — powiedziała raz Olga, będąc u mnie na herbacie; zaczerwieniłam się po same uszy, nie wiedząc co odpowiedzieć.

— O czem jesteś tak zamyśloną? zapytał mnie mąż, nagle przerywając chaos moich myśli — i całując moją rękę nieobtartemi ustami.

— O tobie, — pomyślałam, obcierając rękę serwetą, a głośno dodałam, o jesieni i o jesiennych empletach.

Westchnął i spuścił głowę, widocznie zrobiłam mu przykrość.

Ach, ten brak pieniędzy psuje nawet charakter, — a żądza ich to chwast, który coraz więcej rozrasta się w duszy naszej — niszcząc w niej wszystko, co tam jest szlachetniejszego.

Biedny mój mąż — wstał nagle od stołu, nie skończywszy obiadu.

Żal mi go się zrobiło.

Chciałam wybiedz za nim, ale myśl, że może rozczuli się zanadto — (a skłonny jest do tego) i będzie chciał zrobić mi jaką przyjemność wieczorem, wstrzymała mój dobry zamiar.

Rozdrażniona rzuciłam się na otomankę i zapłakałam nagle.

Potem, widocznie zasnęłam, bo jak otworzyłam oczy było już szarawo.

Zerwałam się z kanapki i spojrzałam na zegarek.

Wpół do piątej, mój Boże, żeby się choć nie spóźnić, żeby mój mąż nie nadszedł i nie zapytał — gdzie idę?...

Ubrałam się jak mogłam najprędzej i gotowa już do wyjścia, wyglądałam oknem przez przysłonięte firanki.

Zapalone na ulicy latarnie w długim monotonnym rzędzie, wydały mi się szeregiem rozstawionych żołnierzy.

W tem usłyszałam turkot. To ona — pomyślałam.

Dzwonek dał się słyszeć w przedpokoju. W jednej chwili byłam przy drzwiach. A gdyby to był kto inny... strzeliło mi do głowy.

W biegłam do pokoju mojej córeczki, której płacz już czas jakiś dziwił mnie i niepokoił.

Biedactwo leżało w kołysce i wyciągało rączki, a niańka stała w oknie; czy i ona wyglądała kogoś?...

Wzięłam je w ramiona, uściskałam, utuliłam i oddałam niańce.

Tyle co do samych rozporządzeń. Gdyby to tylko na nich ograniczał się nasz ucisk. Ale gdzie tam. Ciekawszą jest bezwątpienia samowola i więcej charakterystycznymi szczegóły grabieży, której się dopuszczają bezkarnie ludzie, stojący na najwyższych urzędach. Kradnie z nich kto chce i ile chce, każdy na swój sposób.

Pan Kraczeniennikow np., prezes „Zjazdu sędziów mirowych“ obdziera ze skóry tych, którzy chcą wygrać u niego sprawę; niektóre sztuczki jego podobno wyszły już na jaw i grozi mu proces — nie ulega jednak żadnej wątpliwości, że wykręci się z niego, a może nawet nie dojdzie wcale do procesu, czego najlepszym dowodem, że p. K. nie został nawet zawieszony w swych obowiązkach.

Figielki tego pana i interesa jakie robi niczem są jeszcze w porównaniu z nadużyciami i bezprawiami, jakich się dopuszczają panowie Wiłujew i Lwow. Obydwaj ci czynownicy zawdzięczają swe stanowiska protekcyi generałowej Hurko. Pierwszy do r. 1870 był reformatorem szkół, jako naczelnik dyrekcyi naukowej na gubernią warszawską i wsławił się ideami polakożerczemi na tem stanowisku. Od lat paru, jako tajny radca wszedł do Rady miejskiej Dobroczynności publicznej, został kuratorem zakładów Dzieciątka Jezus i Szpitala zapasowego, a od r. 1888 był kuratorem otwartego już Centralnego domu obłąkanych w Tworkach.

Ten oto radca tajny p. Wasilij Wiłujew porozumiał się z przedsiębiorcą niejakim Hillerem i obydwóm im z tem bardzo dobrze. Hiller podaje całkiem fikcyjne, lub o wiele większe likwidacye od wartości dokonanych robót, p. Wiłujew je poświadcza, a kasa wypłaca. Naturalnie, że z tych dochodów radca tajny otrzymuje lwią część, Hiller również dostawać musi pokaźną sumkę, skoro w krótkim bardzo czasie dorobił się paru pięknych kamienic w Warszawie i posiada przytem krociową gotówkę

Generałowa Hurko wpłynęła właśnie na to, że budowę szpitala w Tworkach na sumę 1,200.000 rubli powierzono p. Wiłujewowi. Specyaliści utrzymują, że gmach ten, choć na oko ładnie wygląda, w rzeczywistości budowanym jest w ten sposób, że najdalej za lat pięć wszystko w nim wymagać będzie naprawy. Czy to prawda — o tem najlepiej chyba wie p. Wiłujew, który i przedtem tak ładnie gospodarował w Radzie miejskiej, że skrzywdził szpitale i przytułki warszawskie na sumę 5,816.092 ruble. Cyfra ta bynajmniej nie jest przesadzoną. Opartą jest ona na najwiarogodniejszych i niezaprzeczonych niczem źródłach. Tyle o p. Wiłujewie. (D. n.).

PIĘĆ WIECZORÓW.

STUDYUM Z NATURY

CEZAREGO JELLENTY.

I.

Łąka za miastem.

Wacław i Aniela w milczeniu idą drożyną, przydeptaną w trawie. Wracają z przedmieścia, które w promieniach zachodzącego purpurowo słońca widać jeszcze jako masę fabrycznych kominów i wygiętych w jednym kierunku smug dymu. Po lewej stronie mają przez całą długość łąki wysoki wał, na którym ciągnie się długi szereg, tu i owdzie poprzerywany — fantazyjnych wil i pałacyków letnich. Po nad niemi góruje olbrzymi obelisk, wzniesiony na pamiątkę stoczonej tutaj bitwy. Na stopniach jego fundamentu, szerokich i sięgających pierwszego piętra, spoczywa gromadka ludzi. Świst lokomotywy dochodzi z miasta, którego pierwszą ulicę, złożoną z artystycznie pięknych domów osobnych, otoczonych ogródkami, widać coraz wyraźniej....

Aniela. Dostaniemy burę od Oli, żeśmy tak długo bałamucili.

Wacław. Ha, to trudno, nie pierwsza będzie, ani ostatnia. Zresztą możemy przyspieszyć kroku — podaj mi rękę, będzie ci wygodniej. (Idą pod rękę). Bogiem a prawdą, to wydaje mi się wielkiem z mej strony poświęceniem, na tak cudowny wieczór, jaki się dziś zapowiada, wracać między cztery ściany mieszkania. A tobie nie?...

Aniela. Nie ma co mówić, czuły mąż z ciebie — chorej żonie skąpić swego towarzystwa. Ej, powiadam ci kuzynku, jeszcze się ona kiedyś na tobie zemści. Szanownemu swemu chlebo i rozkazodawcy przypnie maleńkie rożki...

Wacław. Moja droga — powtarzałem przecie nieraz, że jej na to daję *carte blanche.*

Aniela (wybuchając śmiechem). Więc ty to bierzesz i mówisz na seryo? Więc ty uważasz ją za zdolną do tego? Oj wy wiarołomcy, samiście z lichego materyału i przeto myślicie, że i my wszystkie takie. Nie, nie, choćbyś nawet pragnął, ona ci tej satysfakcyi nie sprawi..., zanadto dumna na to...

Wacław. Aniby mię to grzało, ani ziębiło.. Gdyśmy się pobierali, mówiłem jej nieraz... bah! wciąż o tem prawiliśmy oboje, że krępować swoich uczuć nie będziemy — powiadam: uczuć, a nie kaprysów lub chwilowych popędów. Gdybyś mię znała lepiej i pojmowała, wydałoby ci się całkiem naturalnem, że małżeństwo na zwykłych zawarte warunkach, t. j. takie, w którem obie strony wzajem podpisują sobie cyrograf bezwzględnej na całe życie wierności i, co zabawniejsza, miłości, jest dla mego rozumu, dla serca, dla nerwów, dla całej istoty mojej — ohydą bez wyrazu, świadectwem nierozumu, graniczącem z kretynizmem... Niech tam szewcy umysłowi, czyli jak wy ich nazywacie, przedstawiciele cnoty i porządku zżymają się na to i mówią, co chcą, ja zawsze będę miał odwagę wołać, że to zobowiązanie na rachunek dalekiej przyszłości jest niedorzeczne.

Aniela. Tak... dla was, mężczyzn to sofizmat wygodny... Zresztą, iluż to czcigodnych twych braci po płci nad uczuciami swemi panuje, trzyma je krótko na wodzy właśnie w imię owego zobowiązania — i nie pozwala im zapędzać się w kierunku innych

---

— Proszę cię pilnuj mi dziecka, ja zaraz powrócę.

— Czemu bym nie miała pilnować? — odpowiedziała szorstko.

Uwzględniłam to jednak, zajęta cała jedną myślą...

A Olga już stała przedemną.

— Moja droga spiesz się, bo kto wejdzie nam w drogę i wszystko się popsuje.

— Tak, zawołam — spieszmy się, żeby kto nas nie spłoszył.

Zbiegłyśmy ze schodów, trzymając się za ręce i wskoczyłyśmy do fiakra.

Odetchnęłam — wtulona w kącik, patrzałam z zajęciem na delikatny profil mojej przyjaciółki, rysujący się na szybie przy każdej latarni wyraźniej.

— Czego tak na mnie patrzysz? — zapytała mnie z uśmiechem, zwracając do mnie główkę.

— Bo mi się dziwnie podobasz, a potem myślę nad tem, dlaczego ty właściwie jedziesz dziś do tej wróżki?

— Dlaczego? Ależ moja droga najpierw, żeby się dowiedzieć, czy mnie mąż bardzo kocha — a potem...

— A potem...

Oczy jej błyszczały figlarnie, — a potem mówiła cichutko chcę się zapytać czy... ale nie, nie, nie mogę ci tego powiedzieć — przyczem jej twarzyczka zarumieniła się cokolwiek.

Patrzyłam na nią z zajęciem, bo była tak ładną ze spuszczonemi oczami, zakłopotaną minką i z aureolą tych jasnych włosów, (przepadam za blondynkami) a potem... tajemniczość ta wzbudzała we mnie podejrzenie, czyżby?... Olga, ta szczęśliwa osiemnastoletnia Olga, ubóstwiana przez męża...

Fiaker się zatrzymał, przerywając moje myśli.

Wychyliłyśmy głowy.

— Czy to tu? — zapytała moja przyjaciółka.

— A no juści — odpowiedział fiaker, dyć to czarna wieś, a ta czarownica tu mieszka.

Spojrzałyśmy po sobie, jakiś niepokój w nas wstąpił.

— Czekaj na nas — zawołałam, udając śmielszą od Olgi, i wysiadłszy z dorożki zwróciłam się do domku, w którym jedno okienko białą firaneczką przysłonięte, mdławo było oświecone.

Weszłam pierwsza do sieni.

— Zapukaj do drzwi — mówiła cichutko Olga, idąc trwożliwie za mną.

Zapukałam trzy razy, zatrzymując oddech w piersi.

Drzwi zaraz skrzypnęły, a w nich ukazała się stara brzydka wiedźma.

— Cóż to? — zapytała niemiłym ochrypłym głosem.

— Chciałybyśmy... zaczęła Olga i pociągnęła mnie za suknię.

— Chciałybyśmy... — zaczęłam, baba utkwiła we mnie oczy.

Nie wiedziałam jak do niej mówić, oczy jej świdrowate onieśmieliły mnie jeszcze, ale Olga obrywała mi już prawie wszystkie fałdy u sukni, więc wykrztusiłam prędko.

— Przyszłyśmy po radę.

Wiedźma się obejrzała.

— Co? — tak późno... o tej porze nie wpuszczam już nikogo.

Olga widocznie przelękła się odmowy, bo przystąpiła bliżej.

— Prosimy bardzo nie odmówić nam tego.

Baba objęła nas wzrokiem, potem spojrzała na fiakra i niechętnie mrucząc, wpuściła nas do izby.

Był to pokoik tak mały, jakiego jeszcze w życiu nigdy nie widziałam.

Najpierw, wpadało w oko łóżko, zasłane tak wysoko, że chyba po drabinie wiedźma

kobiet — Hę? Już nie mówię, rzecz prosta, o popędach niższego gatunku. A zatem dopełnić tego cyrografu, jak go nazywasz, nie jest tak trudno, nie przewyższa to sił ludzkich.

Wacław. (Puszcza jej rękę i odskakuje w bok zapalając się coraz bardziej). A więc czegoż to dowodzi? Że umiemy być męczennikami — to jedno; a drugie — że w większym jeszcze stopniu potrafimy być... błaznami. Czegoż — proszę cię, dowodzi fakt, że fakir indyjski skazuje się na wieloletni głód i mogąc jeść mięso — jada korzonki z robakami, a mogąc spać na wygodnem łóżku, siedzi dniami i nocami na palu? Więc ty tem chcesz bronić powagi i ceny cyrografu? Ależ, Anielciu, winszuję ci wspaniałego argumentu! Dla mnie nigdy nędznym i mdłym być nie przestanie człowiek, który dla lichej idei, idei uczuciowego ascetyzmu, zwęża łożysko swego życia i mogąc czuć, kochać i pożądać do samej starości — zagważdża w sobie polot wszelki i odbiera elementarną, najważniejszą ze wszystkich moralnych swobód, swobodę kochania i pragnienia.... ja to nazywam kalectwem, dokonywanem na własnem ciele.

Aniela. No a przecież z ciebie lepszy teoretyk niż praktyk. Żyjecie już z sobą lat pięć — a tyś dotąd najprzykładniejszy z mężów. Może zaprzeczysz? Ale ty kobiet wprost unikasz, patrzysz na nie z góry, niedostępny, a jeśli dostępny to szyderczy. O ile uważam niejedna już do ciebie ukradkiem wzdychała. Pod nogi spadały ci soczyste brzoskwinie, wonne, świeże, rumiane, a tyś nawet nie raczył podnieść jednej. I komuż to być kapłanem Erosa?

Wacław. To tylko świadczy na moją korzyść (z uśmiechem w twarz jej patrzy). Apostołuję więcej na rzecz innych, niż na swoją własną. Czy cię to dziwi? Jestem najzupełniej w zgodzie z sobą — wyznaję i umacniam przedewszystkiem ideę.... Zresztą (patrzy jej znowu w oczy badawczo) może i na mnie przyjdzie kolej. A masz-że pewność, że już nie nadeszła...?

Aniela (rumieniąc się zlekka). Ręczyć nie chcę — ale nie boisz się, że będę może ciekawą i zacznę cię wybadywać, kto była ową szczęśliwą, na której raczyło zatrzymać się dłużej twoje oko?

Wacław. Nie boję się — masz pole do domysłów otwarte. Jeżeliś zręczna — a wy kobiety celujecie w tym kierunku, to... no, to może i odgadniesz. No spróbuj.

Ściemnia się zupełnie — dochodzą już kresu łąki. Na zachodzie jaśnieje jeszcze smuga szkarłatu i złocistem przejściem łączy się z zielonawym, a potem, już całkiem pociemniałym błękitem.

Aniela. A może bardzo trudno? (uśmiecha się).

Wacław. O przeciwnie, najłatwiej w świecie... Bah! ale już na to niema czasu. Jesteśmy prawie w domu (spogląda na zegarek). A możeby tak pospacerować jeszcze z kwadransik.... E nie — po co mi później te kwasy... (odwracają się oboje ku polu i chwilę stoją tak wpatrzeni w krajobraz). A co za wieczór! Patrz jaka ciemna, delikatna mgiełka podnosi się tam z nad moczarów — o tam, tam na prawo. A już i Wenus jest! (wskazuje ręką wielką gwiazdę nieopodal sierpa księżyca). Jaka dziś wspaniała; no i jakże odwracać się od niej, usiąść za stołem i patrzeć w światło lampy.... Ironia! O komedyo ludzka!... Ale co za Wenus, to na mój benefis taka dziś czysta i jasna. Ona wie, że dziś wiosna, a ja na wiosnę tęsknie za nią, po nocach marzę a we dnie jak błędny bez niej chodzę... O moja świetlana uśmiechnij się do mnie, twego czciciela i rycerza!... A tobie ona nic nie mówi?

Aniela. (Pochyla głowę ku jego ramieniu i lekko opiera ją). Alboż ja wiem, mówiłeś przecie kiedyś, że ja na takie szepty mam za tępe ucho... a przecie ty znasz ludzi i znasz kobiety...

Wacław. Jakże ci zazdroszczę!

Aniela. Czegoż to?

Wacław. Twej równowagi... Jakie ty masz zdrowe nerwy... Czy na ciebie taka chwila nic a nic nie działa?... (Aniela wyprostowuje głowę). Czego takeś się zerwała, mnie to nie cięży, a musisz być trochę zmęczona. No, oprzej główkę (ręką lewą łagodnie próbuje pochylić jej głowę na swoje ramię).

Aniela. Ale chodźmy, chodźmy, na miłość Boga. Jaki z ciebie bałamut.

Wacław. A do niedawna jeszcze mówiłaś, żem nudny z swą powagą i ustawiczną zadumą?... Ale, chodźmy, naprawdę...

Idą żwawym krokiem. Po chwili Aniela, przebiegłszy jednym tchem marmurowe schody domu, dzwoni — Wacław pomału, jakgdyby zmęczony i ociągając się, podąża na górę. Gdy wkrótce potem chce otworzyć drzwi od swego pokoju...

Aniela (z palcem na ustach, idąc pocichutku). Chciałam wejść do Oli — ale śpi. Tem lepiej — to się nam udało.

Wacław (szeptem). No, z czemże?

Aniela. Nie będzie wiedziała dokładnie, kiedy wróciliśmy.

Wacław (nachylając się prawie do jej ucha). A ty niegodziwa! a wiesz, że to się już równa kłamstwu. A co powiesz, gdy zapyta nas, o której godzinie wróciliśmy?... No, ale czego my tu stoimy, wejdź tymczasem do mnie (kłaniając się otwiera drzwi i puszcza najpierw Anielę).

Aniela (wchodzi i siada na szezlongu. Chłodzi się chustką). A teraz to czuję, żeśmy długo bawili za domem. Jestem porządnie zmęczona aż nogi drżą podemną. O już na drugi raz nie pozwolę się tak daleko prowadzić.

Wacław (siada zapaliwszy lampę na poręczy szezlongu). To zamiast mi podziękować za moją usłużność, masz jeszcze do mnie żal? Niewdzięcznico!

Aniela. O znam ja cię dobrze, teraz udajesz prawdziwego *cavaliere servente;* potem, jak Ola wyzdrowieje i zechcesz się wymawiać od przechadzek — to zwalisz na mnie całą winę, że ja ci tyle czasu zabrałam, że dla mnie rzuciłeś robotę w kąt, więc musisz teraz odrabiać wszystko i t. p. Oho, znam cię dobrze, mój Wacławie.

Wacław. Patrzcie! To ty, widzę, lepszą masz pamięć niż ja; ja bowiem zapomniałem już całkiem, że tyle lat bawiliśmy się na seryo w kota i myszkę... Ale ty zapominasz, że nieraz ta niby słaba myszka boleśnie dogryzała swemu prześladowcy; myślisz może, że słowami? O nie — tem, że mu się opierała. On zepsuty i rozpieszczony, do oporu nie nawykły, musiał tylko łykać ślinkę na widok jej cudnych ramion i łabędziej szyi, które ktoś podobno t. j. tak złośliwa fama głosi — pokalał swemi brzydkiemi wąsiskami (zesuwa się z poręczy i siada przy Anieli). No, spojrzyj mi w oczy i powiedz, czy to prawda?

Aniela. O nie przypominaj mi tego dandysa... Byłam wtedy naiwna i jego łakomych spojrzeń i dotknięć nie rozumiałam... Jakiś ty niedobry, Wacławie, że mi ten niesmak rozbudzasz na nowo. (Głosem lekko drżącym i patrząc na niego z wyrzutem). Daj pokój temu.

Wacław (miękko obejmuje jej szyję i głowę tuli nieśmiało do ramienia). Nie, przysięgam ci, już nigdy... A przecież on był szczęśliwszym odemnie (całuje ją lekko w włosy) i ja mu nigdy zazdrościć nie przestanę. Ciekawym, czy też on rozkoszował się kiedy zapachem twoich całusów, tak jak ja w tej...

---

wchodziła do niego; pod oknem stała ława, przed nią stolik nakryty czarnem suknem, które dziwnie niemiłe zrobiło na nas wrażenie; na ławie stał duży czarny kot, z podniesionym ogonem; złotemi wytrzeszczonemi oczami wpatrywał się w nas uparcie.

Nad kotem, w starej zardzewiałej klatce, kruk przebudzony ostrzył sobie dziób na zabrukanym szczeblu.

Czyżby tak zły duch pod postacią ptaka robił sobie na nas apetyt?...

Na wszystko to kaganek, postawiony w kuchni pod oknem, rzucał brudne światło.

Otoczenie całe podniecało nas jeszcze więcej... przejęte, skupione, wpatrywałyśmy się w brzydką babę.

— Proszę usiąść, — zaskrzeczała, ścierając żylastą, pożółkłą ręką ławę.

Usiadłyśmy, szukając otuchy, jedna w drugiej spojrzeniu.

Wróżka wyciągnęła z szuflady, z pod czarnego sukna brudne, zatłuszczone karty

Olga siedziała pierwsza, na nią padł wzrok wiedźmy.

Potasowała karty i podała je młodziutkiej kobietce.

— Proszę zebrać, — mruknęła

Olga pomimo, że przez rękawiczkę dotknęła się tych kart, skrzywiła usta ze wstrętem.

Wróżka zaczęła rozkładać karty na czarnym, niby kirem, powleczonym stole, przyczem poruszała wargami i strzelała oczami na Olgę; tymczasem kot dał susa z ławki na kolana baby, która szepnęła coś do niego, a ten czarną łapką wyciągnął jedną kartę.

Wzięła kartę do ręki i szeptała coś nad nią, potem położyła ją osobno i ciągle spoglądając w tę stronę, manewrowała innemi kartami.

Olga, zapatrzona w nią cała, nie oddychała prawie.

— Pani mężatka, odezwała się chrapliwie wiedźma. — bogata, szczęśliwa, jedna myśl tylko panią trapi...

— Tak, tak, potwierdzały oczy mojej przyjaciółki, choć usta milczały.

— Pani chciałaby mieć... — nachyliła się do jej uszka, a Olgę pokrył rumieniec... tak jak wtenczas w dorożce.

— A!... — pomyślałam sobie — to tu jest ta tajemnica... i uścisnęłam ją za rękę, przepraszając tem młodziutkie stworzenie za moje złe myśli...

— Ale niech się pani nie martwi — skrzeczała dalej wiedźma — wszystko da się jeszcze... tylko... nachyliła się znów do niej.

(C. d. n.)

CHMURKA.

Aniela. Już zaczynasz znowu (prostuje się). Ach, ty filozofie — psoty się ciebie trzymają, jak żaka. Czy nie możesz ani chwili usiedzieć ze mną poważnie, nauczyć mię czegoś — ot wiesz co, przeczytaj mi tę nowelkę, którąś wczoraj skończył. Tak, tak (cicho uderza w dłonie) wyborna myśl...

Wacław. A co dostanę za to?

Aniela (przechylając figlarnie główkę). O jak się to acan droży!... No, zresztą pozwolę ci pocałować mnie w czoło.

Wacław. Nie, to za mało.

Aniela. No, to pójdę z tobą jutro na przechadzkę.

Wacław. O jak to się acanna towarzystwem swem droży. Tobie raczej prosić mię, ażebym z tobą poszedł... A dla kogo ja to robię? Przecież nie dla siebie — ja i tak mam przechadzek po mieście dosyć.

Aniela. Zresztą jeśli przeczytasz ładnie, ale ładnie, tak jak ty niekiedy potrafisz — pozwolę się... (szeptem) pocałować w twarz.

Wacław (szeptem). Ile razy?...

Aniela. A raz to nie dosyć?

Wacław. Zgoda — ale pod warunkiem, że na pewność umowy dostanę jednego całusa z góry. (Obejmuje ją i całuje namiętnie kilka razy — Aniela nie broni się).

Aniela (po chwili biernego poddania się). Ach już dosyć, dosyć Wacławie, nie męcz mię... jeszcze ktoś ze służby usłyszy... Poczekaj, o wszystkiem powiem Oli.

Wacław (śmiejąc się). Dobrze, powiemy razem, ale wprzód zapłacę ci za tę pogróżkę (całuje ją znowu gorąco, w oczy, usta, policzki, szyję i ręce; Aniela prawie omdlewa). No, a teraz kiedyś ukarana, będę czytał (wstaje i podchodzi do biurka, z którego szuflady wyjmuje poszyt zapisany). Ale czy zdążę — nuż się ona obudzi zaraz.

Aniela (głosem omdlewającym). To skończysz kiedyindziej. Ale czytaj, czytaj, proszę cię, bo ucieknę ztąd...

(Słychać dzwonek stołowy).

Aniela (zrywa się). Ach, to Ola dzwoni! Cóżeś ty narobił swemi swawolami. (Dochodzi szybko do lustra i poprawia fryzurę). Wszystkie włosy mam potargane. (Wychodzi spiesznie).

. . . .

Sypialnia. Zwieszająca się z sufitu lampa rzuca na pokój zielonawe światło. Ola z wyrazem rozmarzenia na bladej twarzy leży w łóżku, zwrócona ku siedzącej przy niej Anieli. Przy wezgłowiu na stoliku nocnym stos książek. Wprost łóżka wielkie owalne zwierciadło na ścianie.

Wacław (wchodząc). Jak się masz, Olu, spałaś długo?

Ola. O tak, powetowałam sobie bezsenną noc... to też czuję się teraz znacznie silniejszą... Dalekoście byli dzisiaj?

Wacław (siada). Tak... dosyć; poszliśmy w stronę łąki. Powietrze rajskie!... Wiesz co, Olu, jeżli tak będzie i jutro, to może posiedzisz parę godzin na balkonie... wsuniemy tam fotel. Zawsze to cię trochę orzeźwi i pokrzepi. Wiatr wieje południowy, więc przynosi w tę stronę cały aromat pól... Trzeba, żebyś się stopniowo odzwyczajała od pokojowego zaduchu.

Aniela. Rzeczywiście... po co masz się tutaj wędzić, kiedy bardzo łatwo możesz mieć to samo prawie, co i my mamy na spacerach...

Ola. Tak, tak, Wacku, masz słuszność... wcalem na ten pomysł nie wpadła... o doskonale! Ach, jakiś ty dobry, mój złoty! O już teraz widzę, że przy twojej pomocy bardzo prędko odzyskam zdrowie... Ale tyś pewnie już głodny, możeby Anielcia kazała już podać kolacyę.

Wacław (z wyrazem znużenia i niecierpliwości). E nie, jeszcze na nią nie czas. Zresztą pragnąłbym skończyć przed ósmą ważny list, który dziś odesłać muszę.

Ola. A nie mógłbyś tego odłożyć na jutro... Posiedziałbyś trochę przy nas.

Wacław (trochę cierpko). Jakaś ty zabawna, Olu, przecież mówię, że mam do wyprawienia ważny list... Zresztą, nie wszystko-ż jedno, czy posiedzę teraz, czy później, gdy już będę całkiem wolny? (wzruszywszy lekko ramionami podnosi się i wychodzi).

(D. c. n.)

WOLNE MYŚLI.

(FEILETON).

II.

Fin de siècle. — Dotkliwe straty.

(Z. P.) Telegramy rozniosły po świecie sensacyjne wieści, iż rozgłośny beletrysta Gwido de Maupassant targnął się na własne życie, a następnie, skutkiem powtarzających się ataków obłędu, dostał się do domu chorych na umysł. Czego mu brakło do szczęścia w materyalnem pojęciu ludzkiem? co wpłynęło na razstrój jego systemu nerwowego? Opływał w dostatki, miał własną willę, własny jacht, w którym bujał po morzu w chwilach wypoczynku; miał na zawołanie wszystko, czego tylko zapragnął dla zaspokojenia najwybredniejszych potrzeb fizycznych i rozigranych zmysłów. Miał nadto sławę europejską, może nawet zanadto rozgłośną. Czegóż więcej było potrzeba temu ulubieńcowi losu i fortuny, uprzywilejowanemu wśród uprzywilejowanych? Brak mu było do przestudyowania nowej księgi u ż y c i a. Wszystko już poznał, wszystkie rozkosze wypił do dna z ostrą lub słodką przyprawą i odtworzył je w formie artystycznej. Typowy przedstawiciel i wyrafinowany malarz zepsucia, nurtującego majętne klasy we Francyi, stał się ofiarą jego skutków.

Nie o Maupassant'a nam jednak w tej chwili chodzi. Jako wybitny typ dzisiejszego pokolenia w warstwach wykształconych i majętnych, daje on nam powód do smutnych rozmyślań. Pod hasłem: „Czas — to pieniądz“, świat ludzki stał się jedną wielką machiną, wprawioną w ruch szybki bez końca. Im większą liczbę obrotów robi, tem więcej materyału zużywa w postaci siły ludzkiej. W tym ruchu pośpiesznym, w tych obrotach szalonych, siła ta spala się niesłychanie szybko i przez komin olbrzymiej machiny ulata z dymem i popiołem, zagasa w iskier tysiącach. W tej gorączce życia, w tej oszczędności czasu, posuniętej do wysokich granic, nie oszczędza tylko ludzi. Pod brzmieniem wysiłku padają jedni, napełniają sobą wszelkie zagłębienia i tworzą z ciał swych pomosty, po których przechodzą rezerwy. Ten motor wszechpotężny ujarzmił wszystko, zagnał do swej służby siłę mięśni i umysłów. Dziś nie ma uczonych, umierających na stosach dla miłości nauki, palących ostatki swych sprzętów dla dokonania cudownych odkryć, konających w konwulsyach głodowych ze wzrokiem zwróconym do bóstwa wiedzy. Dziś nauka z wysokich szczytów zeszła do podnóża wielkiej produkcyi, stała się jej najprostszą służebnicą. Uczony, trawiący dni i noce nad tyglem, z cyrklem w ręce lub z piórem, staje się hojnym, ale mimowolnym ofiarodawcą; mozolne wyniki swych badań oddaje na własność publiczną. Rezultaty pracy uczonego rozchodzą się po świecie w postaci wyrobów galwanoplastycznych, tkanin drukowanych, prochu bezdymnego i t. d. Dla praktycznego zastosowania nauki pocięto ją na kawałki, wykrajano to, co jest przydatne do szybkiego napełnienia głosów „fachowcom“. Księgi wiedzy przerobiono na papkę, z której się wytwarzają najróżnorodniejsze przedmioty użytku codziennego. Rozwój pracy umysłowej doszedł do olbrzymich rozmiarów, a płody jej zalewają tak samo rynki całego świata, jak wyroby fabryczne.

W tej olbrzymiej wytwórczości umysłowej zapanowała również; jak na innych polach, fuszerka i tandeta, wytworzyły się szeregi spekulantów, usiłujących tanio sprzedawać wyniki badań naukowych, dzięki czemu, umysły najmniej przygotowane bawią się dziś tem, co dla uczonych jest jeszcze przedmiotem poważnych dociekań. Długoletnie mozolne studya Charcot'a i innych, są przedmiotem gry towarzyskiej kuglarzy i błaznów salonowych. Na rynkach „towaru“ umysłowego ważną rolę odgrywa literatura nadobna, a jej autorowie tworzą nie dla samej rozkoszy tworzenia, lecz dla zdobycia możliwie największej sumy wygód materyalnych. Z tem hasłem idą wielcy i mali, i jednostki niezwykłe i tłumy. Ideały niepochwytne rozwiały się w przestrzeni, a szare chmury życia codziennego zasłoniły szczyty. Niema czasu patrzeć w górę, trzeba śpieszyć, trzeba podążać za obrotami motoru wszechpotężnego złota. Gdy nie można osiągnąć rozkoszy umysłowych, trzeba się pocieszać przynajmniej rozkoszami życia zmysłowego.

Jest tylko jedna potężna machina wszechświatowa, około której skupiają się wszelkie zabiegi ludzkie; jednych ona podnosi, drugich odtrąca i ciska pod siebie. Jedni atoli i drudzy wpadają w wyżłobienia, zrobione jej pochodem szybkim. Stargani gorączką życia, wysiłkiem, na wpół histerycy, na wpół hypochondrycy, trapieni hyperestezyą, alkoholizmem itd., jednakowo napełniają sobą kałuże, szpitale i domy obłąkanych. W takiej atmosferze i na takiem podścielisku rozwijają się pokolenia dzisiejsze. Im większe charłactwo i zwyrodnienie, tem większa chęć zaspokojenia potrzeb fizycznych i umysłowych w sposób nieprawidłowy. Temu właśnie przypisać można powodzenie wszystkiego, co daje podnietę zmysłową i jest pewnym narkotykiem. Szare i ciemne warstwy szukają tych rozkoszy w kuflu i kieliszku, wykształcone i dostatnie zaś — w morfinie, tudzież w wytwornej i estetycznej formie erotyzmu.

Literatura nadobna ma dziś głośnych piewców upadku, okrytego zasłoną konwenansów, jak również odartego ze wszelkich więzów towarzyskich. Wybitnym przedstawicielem takiego kierunku w literaturze francuskiej jest Maupassant, tem się różniący od Zoli, że gdy Zola w naturalistycznej formie swych utworów, uwydatniając jaskrawo zepsucie, potrąca o najżywotniejsze sprawy ustroju obecnego i pobudza czytelnika rozumnego do poważnych rozmyślań, — Maupassant zamyka się w ramkach rozkoszy

zmysłowych. Stawszy się uprzywilejowanym, dzięki sprzyjającym mu dzisiejszym warunkom bytu, ubiera w szaty estetyczne to, co jest najbardziej zwierzęcego, jako wytwór tych samych warunków. Jest sprytnym, a przytem utalentowanym wytwórcą, doskonale rozumiejącym rozbudzone temi warunkami życia potrzeby spożywców. Przyszli badacze naszego okresu z tego rodzaju literatury, tudzież ze stopnia jej popytu, wysnują ciekawe ale smutne wnioski.

* * *

(n) Kosa śmierci zgarnęła w dniach ostatnich za granicą i u nas wielu ludzi zasłużonych na polu literatury, nauki i filantropii. W Brukselli zmarł słynny ekonomista Emil Laveleye, profesor ekonomii na Uniwersytecie w Leodyum. Laveley pracował również na polu literackiem. W r. 1844 ogłosił drukiem rozprawę o języku i literaturze prowansalskiej. Był on zwolennikiem socyalizmu naukowego. Do najznakomitszych dzieł Laveley'a należą: *Le marché manetaire depuis cinquante ans* (1865 r.) *De causes actuelles de guerre et de l'arbitrage, De la propriété et de ses formes primitives, Le socialisme contempoorain* (1881) i *Élements d'économie politique* (1882). Dwa ostatnie z wymienionych dzieł posiadamy w przekładzie polskim. *Zasady ekonomii politycznéj*, jasno i treściwie wyłożone, wyszły w Warszawie 1883 r., w tłómaczeniu Sk.; *Socyalizm spółczesny* w klasycznym przekładzie F. K. ogłoszono również w Warszawie 1884 roku.

W Wiedniu zmarł jeden z najsłynniejszych fizyologów, Ernest Wilhelm Brücke, urodzony w Berlinie dnia 6 czerwca 1819 r. Ukończywszy w Heidelbergu medycynę, został w r. 1843 asystentem i prosektorem przy Muzeum anatomii porównawczéj w Berlinie; w roku 1848 objął katedrę fizyologii w Królewcu, a w roku 1849 takąż katedrę w Wiedniu. Już młodzieńcze jego prace odznaczały się przenikliwością. W r. 1856 zjawiło się epokowe jego dzieło: *Zasady fizyologii i systematyka brzmień mowy*. Później ukazały się inne niemniej ważne dzieła: *Neue Methode der phonetischen Transcription* (1863), *Ueber Ergänzungsfarben und Kontrastfarben* (1865), *Physiologie der Farben für Kunstgewerbe* (1866), *Die physiologischen Grundlagen der Verskunst* (1870), *Vorlesungen über Physiologie* (1873), *Buchstücke aus der Theorie der bildenden Künste* (1877) i wiele innych. Jeden z mięśni ocznych nazwano od jego imienia.

W Warszawie zmarł 1 stycznia dr. Gustaw Fritsche, redaktor „Medycyny." Nazwisko to na zawsze zespolone będzie z wieloma humanitarnemi instytucyami w Warszawie, w pierwszym zaś rzędzie zapisze się niezatartemi głoskami w sercach niezliczonej liczby dziatek, które inicyatywie, energii, i żelaznej wytrwałości dra Fritschego zawdzięczają tak znakomicie zorganizowane kolonje wakacyjne. Był to jeden z tak niewielu dziś ludzi czynu, a nie pustej deklamacyi. Dr. Fritsche więcej zrobił dla swego społeczeństwa, niż tysiąc przemądrzałych polityków.

Kronikę żałobną ubiegłego tygodnia zamykają nazwiska: zdolnego dziennikarza Antoniego Porębskiego, b. wydawcy „Tygodnika" piotrkowskiego i współpracownika „Kuryera Porannego", dalej Wincentego Niewiadomskiego, pracowitego popularyzatora nauk przyrodniczych, wreszcie Aleksandry hr. Potockiej z Wilanowa, znanej powszechnie z hojnej ofiarności.

TEATR.

I.

Kampania zeszłoroczna. — Plusy i Minusy. — „Fałszywa świętość."

Pierwsza nowość, chociażby nieoryginalna w r. b. nasuwać musi pewne refleksye na temat zeszłorocznej kampanii teatralnej. Przyznać wypada, że reżyserya dokładała w roku minionym starań i zabiegów, aby repertuar sztuk, tak swojskich, jak i obcych ożywić i urozmaicić, a że częstokroć smakowała w rzeczach niewielkiego dla sztuki waloru, że dawała pierwszeństwo farsom, to ciężar grzechu spada wyłącznie i jedynie na barki przedsiębiorstwa.

Repertuar rzeczy obcych (Ibsen, Suderman) był bogatszym i cenniejszym od repertuaru utworów swojskich. Wina to oczywiście nie reżysera, lecz samych piszących.

Widzieliśmy na scenie rzeczy autorów znanych i uznanych, ale ani jednej takiej sztuki oryginalnej, któraby swą niezwykłą wartością lub głębszą tendencyą odskakiwała znacznie od utworów średniej miary.

Na tem kończę uwagi o repertuarze, gdyż w wyliczeniu sztuk, które w omawianym okresie wystawione zostały, zastąpi mnie urzędowy raport dyrekcyjny. — Teraz słówko o artystach. Ubyli: Konopka, Kłossowska, Ziembińska, pozyskano natomiast panie: Dziryttównę, Trapszównę, Parysotównę i p. Zeydowskiego.

Lwowowi zawdzięczamy podobno pannę Dzirytt, Łodzi p. Trapszo, Warszawie zaś: p. Zeydowskiego z panną Parysotówną.

Dziwna rzecz, ale tym razem miałbym ochotę pogniewać się na Warszawę, że nas tak niefortunnie obdarzyła. Panna Parysotówna chce ponoś być artystką do ról konwersacyjnych, nie posiada jednak ani jednego warunku, któryby jej to ciężkie zadanie ułatwiał. P. Parysot ujdzie jeszcze, kiedy siedzi lub stoi na scenie, nie ruszając się i nic nie mówiąc; z chwilą zaś, gdy rozpoczyna „robić gestykulacyę" (jak powiada Fiszer) — wszelkie iluzye pryskają.

P. Zeydowski mógłby bez szkody dla sceny krakowskiej pozostać w Warszawie.

Szczęśliwą rękę miał ten, kto pierwszy poprowadził na scenę panny: Dzirytt i Trapszo. Obie ładne, pełne wdzięku i niewątpliwego talentu — mają przed sobą dużą przyszłość. P. Dzirytt posiada w grze więcej prawdziwego sentymentu (nigdy ckliwej czułości), niż p. Trapszo, która wabi znowu subtelną kokieteryą. Pozyskanie obu artystek dla naszej sceny, zaliczyć trzeba do plusów w bilansie dzisiejszego przedsiębiorstwa.

Przeciągająca się choroba p. Siennickiej i p. Ruszkowskiego, oraz zagięty podobno na zdolnego artystę p. Śliwickiego parol przez teatr Rozmaitości w Warszawie — skłonić winny dyrekcyą do odpowiedniego pomnożenia personelu, tem snadniej, że i p. Hoffmannowa na dłuższy czas usunęła się ze sceny.

Słyszeliśmy już o rozpoczętych rokowaniach z pp. Konopką i Mielnickim i pragniemy, aby one jaknajrychlej doszły do skutku.

O ile strona wewnętrzna pracy teatralnej (reżyserska) znamionowała w r. u. rozwój i postęp, a więc zasługiwała na uznanie, o tyle zewnętrzna, czyli wystawowa pod żadnym względem nie odpowiadała nawet skromnym wymogom. Przedsiębiorstwo, ciesząc się poparciem dzienników, nie uznawało za stosowne liczyć się z tem, że jeden garnitur porządnych „mebelków" to nieco zamało na subwencyonowny teatr krakowski, że odrapane i podziurawione dekoracye nie mogą służyć zarówno dla farsy, jak i „Zbójców" Szyllera, gdyż płacący za bilet ma prawo żądać nietylko dobrej gry artystów, ale także pewnej staranności około wystawienia sztuki. Kurtyna już kilkakrotnie odmawiała posłuszeństwa, obok tego przeciągi na scenie są straszne, jedna z lóż parterowych prawie, że się rozdwaja itd. — to niby szczególniki drobne, ale zreasumowawszy je otrzymamy całość mało ponętną. Tyle o r. 1891. — Pierwszą premierę tegoroczną możnaby zbyć krótką wzmianką, gdyż sztuka p. Pinero (z angielskiego), w przeróbce niemieckiej p. Blumentala a polskim przekładzie p. Sachorowskiego na szerszą ocenę nie zasługuje. P. Pinero pozazdrościł widocznie laurów Dumasowi i jął się mędrkować na sposób autora „Damy kameliowej", różniąc się tylko odeń w rozwiązywaniu tez. Dumas jest zwolennikiem rehabilitacyi kobiet upadłych — Pinero jej przeciwnikiem. Sam tytuł sztuki „Fałszywa świętość" jest poprostu niedorzeczny. Zkąd „świętość"?

Czy kobieta, mająca tylko prawem i kościołem uświęcone z mężczyzną stosunki już zasługuje na miano „świętej"?

Bohaterka p. Pinero (Małgorzata Barthet) jest przedewszystkiem bardzo niewyraźną. Autor nie uwydatnił w tej postaci ani pierwiastka zmysłowego ani uczuciowego, dlatego widz nie czuje wprawdzie dla Małgorzaty współczucia, ale również nie budzi ona w nim obrzydzenia. Zwykły typ zawiedzionej kobiety, która pragnie pomścić swój upadek.

Komedya p. Pinero posiada warunki sceniczne, (tz. napisaną jest dla sceny dobrze) razi jednak co akt niemal efektami melodramatu. Sztukę grano koncertowo. Na szczególne wyróżnienie zasłużyły panie: Wojnowska, Żelazowska, Dziryttówna oraz pp.: Rygier, Sobiesław, Antoniewski i Śliwicki.

Józef Bornsztein.

„MŁODZI" W LITERATURZE SKANDYNAWSKIEJ.

(Ciąg dalszy.)

W takim to czasie i wśród takich stosunków wystąpił na wszechnicy kopenhagskiej z szeregiem odczytów o „Głównych prądach literatury XIX. stulecia" — Jerzy Brandes. Urodzony w Kopenhadze z rodziny żydowskiej zjednoczył Brandes w swojej osobie wszystkie wybitne właściwości i zalety plemienne i narodowe. „Skrzyżowanie ras, zmienna gra wpływów plemiennych i otoczenia, stworzyły zeń kolosa, jakich niewielu kultura północna wykazaćby zdołała." Odzwierciedlając w sobie z prawdziwą wrażliwością najdobitniejsze i najsubtelniejsze objawy ruchu umysłowego w Europie współczesnej, przenosił go Brandes natychmiast na grunt rodzinny. Pojętny uczeń, a początkowo także i zwolennik filozofii Hegla, przyswoił sobie jego metodę dyalektyczną i w rezultatach samodzielnych swoich badań doszedł równolegle z niemieckimi heglistami „skrajnej lewicy" — do ateizmu, stanowiącego jednę z najwybitniejszych cech i zasadniczych podstaw całego ruchu, przez Brandesa wszczętego. Przejąwszy od Stuarta Milla postulat emancypacyi kobiet i ideę społecznej i politycznej swobody, bronił ich wytrwale i gorąco, posługując się w metodzie badań wzorami, jakich mu dostarczały pisma Sainte-

Beuve'a i Taine'a. „Jak siewca duchowy przebiegał Brandes obszary północy i wszystko, cokolwiek od owej chwili wydały narody północne jest płodem ziaren, przez niego rzuconych. Na podstawie jego „Głównych prądów" powstał cały szereg dzieł i utworów nowej generacyi poetów; z bogatego drzewa jego idei ucinali sobie wszyscy po gałązce, aby ją zaszczepić na pniu własnej indywidualności; z jego zasad wyłoniły się postacie z krwi i kości, według nich kierowano życiem i losem istot ludzkich". Ibsen i Björnson, Kielland i Drachmann, Schandorph i Jakobsen porzucili na odgłos jego nauki nieuchwytne mgły romantycznych rojeń i zwrócili się do zagadnień pulsującego życia. Piśmiennictwo, żywiące się sokami idei Brandesa, zdemokratyzowało się i nastroiło na ton opozycyjny, szukając pogłębienia i poparcia w teoryach angielskiego ekonomisty, J. S. Milla. „Wolność polityczna", „emancypacya kobiet", „moralność altruizmu" były wytycznymi punktami nowego kierunku.

Z biegiem czasu atoli zmieniły się w niejednem zapatrywania Brandesa na świat i ludzkość. I tak np. zajął on wobec przesadnie wybujałego ruchu emancypacyjnego kobiet skandynawskich wespół z najznakomitszymi pisarzami skandynawskimi stanowisko wręcz przychylne. Odczyty zaś o Nietsche'm, wygłoszone na wszechnicy kopenhagskiej w r. 1888. — znamionują w poglądach Brandesa świeży zwrot od filozofii St. Milla do teoryi „ludzi olbrzymów" (Uebermenschen) niemieckiego filozofa-poety. Jakbądź atoli osądzać będziemy sprzeczności, znachodzące się u Brandesa zarówno w pojęciach, jak i w działaniu — niezaprzeczoną i wielką jego w dziejach literatury skandynawskiej pozostanie zasługą, że pierwszy i najwspanialszy rzucił posiew na grunt, z którego wyrosła nowa generacya poetów, z przedstawicielami tej miary, co Jakobsen, Striberg i Garborg na czele: generacya, rekrutująca się z wszystkich trzech dzielnic Skandynawii: Danii, Szwecyi i Norwegii.

Rok 1864. zapisany w dziejach Danii czarnemi głoskami, jako rok klęski politycznej i społecznego zastoju, był dla niej zarazem zapowiedzią nowej ery, zwiastunem odrodzenia, które miało podźwignąć ducha narodu i dopomóc mu do zrzucenia z siebie jarzma niebezpiecznej apatyi i ospałości. Bierna wrażliwość na wpływy kulturalne południa i zachodu, utrzymująca narodowy charakter duński w stanie płynnej i niekrzepniejącej masy, z której dopiero twórcza ręka mistrza ulepić miała formę i nadać jej odpowiednie kształty — ułatwiała Duńczykom nabywanie i przejmowanie wszystkich świeżych zdobyczy cywilizacyjnych, ujawniających się u narodów ościennych. Głęboka refleksya, cechująca zamknięty w sobie i nieudzielający się temperament duński przetrawiała nowe nabytki, snując z pajęczych nitek illuzyi najwspanialsze girlandy rojeń i marzeń, które jak bańki mydlane pryskały za zimnym podmuchem rzeczywistości. Powoli i nieznacznie dokonywał się przewrót umysłowy, stawiający na gruzach fantastycznego świata ułudy: zimną rzeczywistość.

Rozdźwięk, wywołany tym procesem przejściowym odbił się w spółczesnej literaturze, i znalazł najdosadniejszy swój wyraz w utworach J. P. J a k o b s e n a. — Urodzony w r. 1847 w małej mieścinie jutlandzkiej Thisted spędził w niej całe niemal życie zdala od wszelkich wrażeń silniejszych, odsunięty od bezpośredniego udziału w życiu publicznem, którego przebieg śledził z obojętną przedmiotowością uczonego pedanta i obserwatora. Niestrudzony badacz przyrody, marzyciel i poeta — był Jakobsen zarazem znakomitym artystą, w którego duszy, jak w czystem zwierciedle odbijały się prądy, nurtujące społeczeństwo i właściwości, cechujące charakter ogółu. Była to niezmącona żadnym poruszeniem stronniczych lub osobistych dążeń krynica, odźwierciedlająca najsubtelniejsze odcienia świateł, błyszczących dokoła. Nie dziw, że przy takiem usposobieniu, zamiast zasklepić się w botanice, rzucił się na pole badań i dociekań psychologicznych, przenosząc w tę nowę dla się dziedzinę głęboką znajomość natury i wrodzoną sobie miłość prawdy, która oburzała się na fantastyczne przeinaczanie rzeczywistości i „upiększanie" surowych a niedoścignionych tworów przyrody.

Pierwszy utwór Jakobsena (z r. 1872), nowella zatytułowana „Mogens", był wyrazem gorącego protestu przeciw nadużyciom romantyzmu i jego epigonów, zerwaniem z antropomorficzną symboliką natury i hasłem do realistycznego na świat poglądu. Jako gorący zwolennik i tłumacz Darwina, zastosował Jakobsen w swych opisach zasadę możliwego prawdopodobieństwa, jakkolwiek wyraźnie uwydatnił w nich również i pierwiastek indywidualny, wyrażający się u niego w niezmiernem bogactwie kolorystyki, zdumiewającej mnogością najsubtelniejszych odcieni. Mogens (imię bohatera) — to idealne dziecko natury, nietknięte od wpływów kultury i nieskażone atmosferą, wśrod której żyje i oddycha człowiek XIX. wieku; zarazem dziecię szczęścia, któremu los u nóg składa najpiękniejsze zdobycze życia i owoce zabiegów ludzkich: Idealny wytwór i ucieleśnienie głębokiej, a niczem nienasyconej i niekreślonej tęsknoty, która jak wampir wżarła się w duszę Jakobsena i wysysała z niej wszelką siłę i nadzieję na przyszłość. Gorączkowa dążność do uplastycznienia nieuchwytnego uczucia, rozpierającego pierś poety, przebija się we wszystkich jego utworach, przedstawiając je jużto jako nie dające się ziścić pragnienie miłości („Marya Grubbe"), już jako łamiącą się nadzieję marzyciela („Nils Lyhne") już wreszcie jako nierozwiązaną zagadkę duszy ludzkiej („Tu różom kwitnąć"). (C. d. n.)

IGNACY SUESSER.

POKŁOSIE LITERACKIE.

„Wysadzony z siodła". Powieść z życia współczesnego Antoniego Sygietyńskiego. Warszawa. 1891. Nakł. T. Paprockiego i Sp.

Powieść ta, to jedna z przerażająco smutnych kart naszej dzisiejszej historyi. Szlachcic polski, który miał wąsy nadające jego twarzy zamaszystość i tęgość, jaką zawsze polskie wąsy nadają, ale w którego duszy nie było hartu, w którego mózgu nie było inteligencyi ani wiedzy, powraca z długiego wygnania na Sybir do kraju i nie mogąc się przystosować do nowych, obcych mu stosunków, ginie w najhaniebniejszy sposób. Ginie tak, jak giną szczepy Indian amerykańskich w zetknięciu z cywilizowaną białą rasą, opadając coraz niżej i niżej. Obok tej głównej postaci bohatera powieści Załogowskiego, którego losy są jej rdzeniem, grupują się dwie pierwszorzędne figury: adwokata Ciężyńskiego i córki Załogowskiego Zofii, aktorki.

Ten Ciężyński to dla psychologo nadzwyczaj ciekawa osobistość. Skąpiec, oszust, stary, wyuzdany lubieżnik, człowiek nikczemny z gruntu, i do gruntu, kocha się szelenie w Załogowskiej, kocha się, jak młody chłopak, który gotów jest ślad stopy kobiecej pocałować, n. b. Załogowską, jako młodziutką dziewczynę, zostawioną na jego opiece, uwiódł. Zofia Załogowska to także typ oryginalny. Dobra, ale nie wykwintnie dobra, zepsuta od samego rana życia, nerwowa, oddana na pastwę najdziwniejszym losom, nie budzi w czytelniku ani sympatyi, ani antypatyi. Żal jej jest i widzi się, że taki charakter w danych takich a takich warunkach, inaczej rozwinąć się nie mógł. Tu tryumf dla autora, jako dla badacza i znawcy charakterów.

Obok tych trzech osób na pierwszym planie, spotykamy w powieści mnóstwo figur drugorzędnych, podpatrzonych z nieporównanym darem obserwacyjnym wprost w rzeczywistości i przeniesionych z ogromnym talentem wprost z życia na papier. Dość spojrzeć na taką lichą w każdym calu, a tak wspaniale zaszkicowaną kreaturę jak dziennikarz Hebalski, aby się przekonać o rysiem oku p. Sygietyńskiego i jego zdolności do fotografowania ludzi à la minute.

Jużto przyznać trzeba autorowi, że obyczaje knajpiarskie opisuje jak mało kto, teatr i przyjaciół teatru poza gmachem teatralnym zna na wylot, a w świecie dziennikarskim pływa, jak ryba w wodzie.

Powieści pana Sygietyńskiego poświęcić by trzeba więcej miejsca, gdyby nie brak jego. Jestto bezwarunkowo jedna z najlepszych rzeczy, jakie ukazały się w ostatnich czasach, pisana z ogromnym talentem, z bijącą w oczy werwą, pisana atletycznie pewną siebie ręką, dyktowana przez umysł wykształcony w ostatniej szkole literackiej, a na wskróś samodzielny. Szkoda, że nie możemy bliżej przypatrzeć się przedmiotowi. Powolne, stopniowe, konsekwentne zniżanie się Załogowskiego, który z hardego, a niedołężnego szlachcica schodzi na dorożkarza, posłańca, wreszcie na sługę swej własnej córki i kandydata na szwajcara, o które to miejsce prosić będzie śmiertelnego niegdyś wroga, krzywdziciela swego i gwałciciela córki, Ciężyńskiego, jest przeprowadzone poprostu świetnie. Niemniej świetnie skreślił autor stosunek Załogowskiego do córki, tak oryginalny, a tak prawdziwy!

MISCELANEA.

*** Na scenie teatru Rozmaitości w Warszawie wystawiono z powodzeniem sztukę znanego pisarza, Edwarda Lubowskiego, pt: „Bawidełko". Jest to rzecz napisana z talentem, w stylu Sudermanowskim. Nowy utwór autora „Nietoperzy" mamy wkrótce ujrzeć w Krakowie.

*** Silne wrażenie wywołał zakaz policyjny wystawienia premiowanej pierwszą nagrodą na konkursie Wydziału krajowego komedyi p. R. Orszy pt.: „Kraj". Utwór ten cenzurował redaktor urzędowej „Gazety lwowskiej" p. starosta Krechowiecki.

*** P. dr. Narkiewicz-Jodko zapoznał koła naukowe Warszawy i Wiednia ze swemi wynalazkami w dziedzinie elektrotechniki. Wkrótce zamieścimy o nich artykuł fachowy.

Treść Numeru:

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: **Józef Tarczeński.**

nieobcym był jej postęp, że towar, którym handlowała był zawsze wyborowy i gustowny. Mówiąc o gustowności wykonania danych wyrobów, znajdujących się u p. Schulza, pomijamy artykuły tak zwane, przyborowe, jako to: nici, jedwab lub bawełnę, gdyż te artykuły prawie nigdy się nie zmieniają, ale mamy na myśli ów wielki wybór toaletowych specyfików dla pań — owe szczoteczki, grzebienie, lusterka, mydła i perfumerye, dalej wielki zapas pięknie wykonanych artykułów dewocyjnych, i wiele innych rzeczy, służących do praktycznego użytku, lub ozdoby pomieszkań. — A dalej firma F. A. Grigar w Rynku (Linia A-B) prowadzona wzorowo i zaopatrzona w najświeższe towary galanteryjne i odnoszące się do męskiej konfekcyi. Przeglądaliśmy ostatnimi czasy towary w handlu p. Grigara i przyznać musimy, że rzadko który z tego rodzaju handlów poszczycić się może tak umiejętnie dobranym sortymentem. Nie koniec na tem, oprócz bowiem rzetelnej jakości towaru, każdy nawet najdrobniejszy przedmiot w handlu p. Grigara odznacza się szczególnie: nowością fasonu i estetycznym wyglądem. Już to gust właściciela handlu jest niemal unikatem.

Znamy bardzo wiele osób, należących do najwybitniejszych sfer inteligencyi, które chętnie w kupnie konfekcyi męskiej zdają się w zupełności na gust p. Grigara. Że ich nigdy zawód nie spotkał, o tem jesteśmy najmocniej przekonani. Taki handel i w ten sposób prowadzony, może i powinien liczyć na powodzenie, zwłaszcza u tych, którzy lubią rzecz trwałą i piękną! Z nowszych artykułów znajdujących się w handlu p. G. wymienić należy: rękawiczki zimowe, na poły ze skórki i ciepłej materyi sporządzone, eleganckie i trwałe, dalej kaftaniki „India gauze" kapelusze najnowszych fasonów, sporządzone z najlepszych filców, płaszcze gumowe patentowane, pledy, baracze strzeleckie, parasole z najlepszych materyj, z modnemi rączkami, bieliznę męską najrozmaitszego fasonu i jakości, w której uderzają nas szczególnie oryginalnością swoją najnowszych fasonów kołnierzyki i manszety z deseniami (mora).

O wyborze gustownych lasek, cygarniczek, wybornych tutek cygaretowych wyrobu samejże firmy, dość wspomnieć, że nawet konkurencyi nie mają.

Czyż handel tak wzorowo prowadzony, nie mówi sam za siebie najlepiej?...

Że nasze Panie lubią biżuterye, — o tem wszyscy wiemy — jak również wiemy, że nietylko nasze panie lubią ten artykuł ale cała niemal rzesza, nosząca miano płci pięknej — przepada za nim! W większej części jest to zupełnie uzasadnione. Dobrane kolczyki, broszka, pierścionek, bransoletka, agrafa lub dyadem, podnoszą bezwątpienia wdzięk kobiety, jeśli takowe w odpowiedniej porze nosić i należycie do swej powierzchowności zastosować potrafi. Zawsze jednak wymagać należy, iżby przedmiot biżuteryjny był „artystycznie" a co za tem idzie — gustownie wykonany. — O guście naszych pań w dobieraniu dla się ozdób biżuteryjnych — dużo dałoby się powiedzieć. Przedewszystkiem zauważyć musimy, że pań mających pod tym względem smak wyrobiony — jest nie wiele. A wiecie dlaczego? Oto dlatego, że nasi panowie jubilerowie posiadają zazwyczaj towar wyszły dawno z mody, i nie starają się zupełnie o to, aby go zastąpić towarem świeżym. Biżuterye starych fasonów, kupują taniej — i aby zarobić — raczą nim płeć nadobną, która, rada nie rada, nabywa rzecz niepiękną, za którą często sowicie płaci. Tę anomalię usunąć może tylko uczciwa konkurencya i o takiej właśnie mówić zamierzamy.

Istnieje w Krakowie (przy ul. Grodzkiej vis a vis Magistratu) handel pod firmą:

„Agencya czeska F. Hofmanna"

posiadający wielki wybór biżuteryj tak artystycznie i pięknie wykonanych, że chyba człowiek, pozbawiony zupełnie estetycznego smaku, mógłby temu zaprzeczyć.

Mimo to, handel powyższy opiera się dotychczas przeważnie na klienteli z klas najwyższej inteligencyi, a osoby, należące do tak zwanej klasy średniej — zakład powyższy mało odwiedzają. Dzieje się to właśnie dla tego, że większość naszych pań lubi dużo złota, dużo drogich kamieni, nie zwracając zupełnie uwagi na dobór i fason biżuteryj. Przytem zdaje się niejednej kobiecie, że skoro za biżuterye zapłaci drogo, to już tem samem nabyła rzecz piękną! Mylny to pogląd, bardzo mylny, czego dowodem, że panie, należące do klas najwyższej inteligencyi i często bardzo zamożne kupują biżuterye w agencyi F. Hofmanna. Czynią to dla wielu bardzo racyonalnych względów.

W agencyi p. Hofmanna — znajdują się wyroby jubilerskie jedynie z prawdziwych kamieni i w szczere złoto lub srebro oprawionych, a że te wyroby są tanie to jedynie dla tego, że bogata w oryginalne kamienie ziemia czeska — dostarcza tym wyrobom — materyału. Głównie zatem znajdują się tam biżuterye, sporządzane z czeskich granatów, moldawitów, topazów, agatów i hesper. pereł. — Niemniej znajdują się tu wyroby z ametystów, lapisów, kryształów, karniolów, onyksów itd. Czeskie fabryki idąc w ślad za Francyą, urabiają biżuterye z pewną artystyczną finezyą, niezatracając bynajmniej oryginalności, płynącej z własnego ich pomysłu i zastosowania. Kto zatem kupuje biżuteryjne wyroby w agencyi Hofmanna, płaci niewiele i otrzymuje rzecz oryginalną, artystyczną i realnie wartościową. Zapytano nas przy pewnej sposobności, jaka jest wartość czeskich kamieni w stosunku do kamieni zamorskich? Na to pytanie daliśmy następującą odpowiedź krótką: „wartość jest równa a częstokroć większa". Uzasadnić to było nam łatwo.

Sznur pereł czeskich, znajdujący się na tegorocznej wystawie w Pradze, a należący do skarbu rodzinnego hr. S. oceniano na 20.000 złr., z czego widać, że czeskie perły nie ustępują w niczem perłom z morza, czyli tak zw. oryentalnym. Dalej: moldawity, czeski kamień zielonego koloru, ślicznie się krystalizujący — jest najoryginalniejszym z wszystkich znanych w świecie kamieni szlachetnych; zaś czeski granat należy do rodziny najszlachetniejszych tego rodzaju kamieni, dość wspomnieć, że $63^3/_4$ karatów ważący granat czeski obliczono na 45.000 dolarów. Z tego widzimy, jak stoi kultura czeska pod względem szlachetnych kamieni — i to nas tłumaczy, dlaczego zalecamy śliczne, a mimo to tanie wyroby pobratymczego narodu.

Mówiąc na samym wstępie o specyfitach damskich winniśmy dodać, że droguerya p. Radlera (przy ul. Szewskiej) ma na składzie wonne mydła, mydełka, perfumy z pierwszorzędnych fabryk, mydła hygieniczne, konserwujące płeć, pasty, pastylki, proszki do zębów, wody do ust itp. materyały, wypróbowane, które zdaniem naszem, już dla tego samego mają większą wartość dla kupujących, że je sprzedaje specyalista — mag. farmacyi. Przytem cena towarów p. Radlera jest nader przystępna. Również wspomnieliśmy na wstępie o taniości obuwia, tego najbardziej potrzebnego artykułu i udowodniliśmy przykładem jako ci, co kupują z niemieckich fabryk, oszukiwani bywają. Na zło jest jednak rada i trzeba kupować obuwie na miejscu robione i sprzedawane przez renomowane firmy. Proszę tylko spróbować kupić trzewik u p. Wernera przy ul. Szewskiej lub u Kiermasza na ul. Floryańskiej — a przekona się każdy czy mówimy prawdę i czy kupującej publiczności dobrze życzymy. Zakład p. Wernera cieszy się nadto znaczną klientelą ze sfer wojskowych a pono klienteli wojskowej trzeba dostarczać najlepszego a głównie trwałego obuwia.

W następnym Nrze pomówimy o artykułach spożywczych i wskażemy, gdzie takowe najlepiej kupować, jak niemniej zapowiadamy dalszy ciąg o handlach krakowskich w ogóle, których dobre i złe strony postaramy się wykazać.

MIANOWANIA.

*** Dyrektorem generalnym kolei państwowych w Austryi mianowany został poseł dr. Leon Biliński, profesor ekonomii politycznej na Wszechnicy lwowskiej.

Nominacya na tak wysokie i zaszczytne stanowisko Polaka, który, jak wiadomo, był jednym z najgorliwszych obrońców praw autonomicznych naszego kraju przy debacie parlamentarnej nad decentralizacyą kolei żelaznych w Galicyi — napawać nas musi nadzieją, że rząd, pomimo znanych w tym kierunku uchwał parlamentarnych, nie zamierza oddać naszych kolei na pastwę centralistom. Nie dziw więc, że polakożercze pisma wiedeńskie czepiają się osoby znanego ekonomisty, odmawiając mu kwalifikacyi do piastowania urzędu generalnego dyrektora. Nam tylko cieszyć się wypada, że na czele zarządu kolei państwowych staje mąż głębokiej wiedzy i wypróbowanych zdolności.

Dyrekcya poczty przeszła z rąk p. Szifnera w ręce radcy dworu p. Jana Aloyzego Seferowicza, z czego Kraków szczególnie, jako bliżej znający gorliwą działalność p. Seferowicza na innem stanowisku, cieszyć się powinien. W całym kraju powitano tę nominacyę z zadowoleniem.

Rozwiązanie Zagadki, umieszczonej w Nrze 1 „Myśli".

Dobre rozwiązanie zagadki, umieszczonej w dodatku do 1go num-ru „Myśli" z r. b. nadesłali nam pp.: porucznik Golachowski (otrzymał nagrodę), Zielonka Jan ze Lwowa, Józef Jerschina prawnik z Zarszyna, L. Ludomir inżynier z La Madelaine we Francyi oraz panie: Róża E. z Poznania i Jadwiga Parnass z Tarnopola.

Znaczenie zagadki: Kraszewski.

Odpowiedzi od Redakcyi.

P. Mecenasowi P. w Tarnopolu. Dotąd nie oznaczono ryczałtowej sumy za wydawnictwa im. T. T. Jeża. W księgarniach nabywać można następujące poszczególne dzieła: Szkice H. Spencera (II tomy, 2 rs. 80 kop.). „Dziedziczność psychologiczna" Ribot'a (1 rs. 80 kop.), „Geniusz i obłąkanie" C. Lombrosa (2 rs. 60 kop.). „Wspomnienia o J. I. Kraszewskim" przez Jeża (75 kop.), wreszcie „Zagadnienia ducha" Lewesa (rs. 2).

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.
Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: Józef Tarczeński.